

W DRODZE

Price in Palestine : 50 mils, in Egypt : 60 mils.

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 22 (40)

Jerozolima, 16 listopada 1944 r.

Rok II

BOHDAN ŁĄCZKOWSKI

WIELKA POLITYKA EMIGRACJI^{*)}

„Emigracja u nas jest to po prostu wyprawa synów z rodzicielskiego domu, nie dlatego, żeby gdzieś indziej szukali, jak to mówią, lepszego losu, zarobku, ale żeby domową skargę przed całym wywozili światem i powrócili ojcowskich krzywd mścicielami. Wielkie i głębokie jest każdej emigracji polskiej znaczenie: bo to nie frakcja, pokonana w kraju przez drugą, ale żywa, jawna protestacja, którą cały lud podziela przeciwko obcym najeźdźcom”.

Maurycy Mochnacki. „Powstanie narodu Polskiego w r. 1830 i 1831”.

„Ludy, które znalazły się we własnych nieszczęściach, mogą słusznie powiedzieć, że wszystko ocalały, zachowując nadzieję”.

Bossuet. „Kazanie o Rzymianach”.

Powstanie roku 1830 wezbrało gwałtownie, jak potok górski, który, niszcząc i obalając pierwsze napotkane przeszkody, nagle na szersze spływając przestrzenie, traci stopniowo rozpęd i kierunek. Właściwie poza wiarą i wolą spiskowców nie było uzasadnienia dla wybuchu powstania jesienią r. 1830, a nie później czy wcześniej.

Nie było żadnych w tym akurat czasie wydanych zarządzeń rządu carskiego, któreby decydowały o wyborze daty. Nie było także okoliczności zewnętrznych, mogących stanowić przyczynę szybkiego działania. Chyba owe, przez Lafayet’a na posiedzeniu Izby Francuskiej odczytane dokumenty, świadczące o przygotowaniach do marszu wojsk rosyjskich na zachód dla stłumienia rewolucji francuskiej i belgijskiej.

Gdyby powstanie wybuchło w r. 1829, kiedy dziesiątkowane przez bitwy i choroby wojska Dybicza z trudem dotarły do bram Adrianopola, wówczas sytuacja Rosji byłaby bez porównania poważniejsza. Car nie miałby armii do stłumienia buntu w Polsce. Światu ukazałaby się cała słabość Rosji.

Jeżeliby spiskowcy jako chwilę korzystną dla rozpoczęcia walki wybrali rok 1832, okres trudności w stosunkach między mocarstwami, wywołanych przez marsz zwycięskiej armii Mahometa Alego przez Anatolię, istniałaby wtedy przynajmniej możliwość stworzenia pomyslnych układów dyplomatycznych.

W warunkach, w których doszło do ruchu zbrojnego r. 1830, dyplomacji powstańczej nie udało się znikąd dostać pomocy.

Latwo można ustalić, jak wyglądają w oczach rządów ówczesnej Europy oceniane na zimno błędy polityki polskiej.

A więc: powstanie wybuchło nie we właściwym czasie, bez ustalenia, jaki będzie stosunek doń mocarstw. Przez hasło „od morza do morza” powstańcy zrazili sobie pozostałych rozbiorników, którzy chętnie widzieli osłabienie potężnego rosyjskiego sąsiada, ale nie chcieli oddawać Polsce zabranych przez siebie ziem. Prusy od czasu Tytły pełniły jedynie rolę przeżarzonego sekundanta Rosji, ale Austria na pewno gotowa byłaby do cichego popierania powstania, gdyby w jakiś sposób umiano zagrać na dawną nutę niechęci i niepokoju Metternicha, tak wyraźną wobec Rosji już od 1813 roku.

Powstańcy nie przygotowali również dostatecznie terenu we Francji i w Anglii. Dla monarchii lipcowej w Paryżu powstanie przyszło w samą porę. Ludwik Filip mógł się wydać carowi mniejszym złem w chwili, gdy zajęty był w Polsce. Błędem było jednak przypuszczać, że Francja, czując długi wdzięczności wobec Polski, popierać będzie powstanie. Przeciwnie, powstanie dało jej okazję do zacerpnienia oddechu, do wzmocnienia się. Zabezpieczona od strony Rosji Francja mogła, pomimo sprzeciwów angielskich, kontynuować akcję podboju Algieru. Klęskę w Europie, opuszczenie swych naturalnych sojuszników, którzy w ciągu trzydziestu kilku lat dawali dowody wierności wobec Francji, rząd monarchii Orleańskiej chciał pokryć sukcesami w koloniach.

Anglia była zaniepokojona polityką francuską w Algierze i w stosunku do Mahometa

Aliego. Obawiała się rozciągnięcia wpływów francuskich na Syrię, czy może i na Egipt. W skomplikowanej grze politycznej między Francją a Rosją, Anglia chciała wygrać Rosję przeciwko niektórym planom francuskim. Chodziło m. in. o sprawę belgijską. W Londynie wiedziano o planie włączenia Belgii do Fran-

cji lub osadzenia na jej tronie księcia z domu orleańskiego. Z okresu wojen napoleońskich pozostawała w Anglii nieufność wobec Francji. Obawiano się nadmiernego wzrostu jej sił. Powstanie wypadło bardzo nie w porę dla Anglii. Jako strażniczka systemu równowagi sił, Anglia obawiała się zniszczenia tego

Dzień powrotu prawa

Po raz szósty witamy na obczyźnie pochmurne niebo 11-go listopada, zamykając w ten sposób jeden więcej rok istnienia w świadomości demokratycznej Europy państwa polskiego, odbudowanego traktatem wersalskim. Spośród 26 lat, jakie przedstawiają ostatni okres naszego życia państwowego, aż osiem upływa w wyczerpujących walkach, w najwyższym wysiłku, w wojennym zniszczeniu, doprowadzonym w końcu aż do biologicznego tępienia ludności. Przez pierwsze trzy lata musimy się bić w obronie suwerennej władzy narodu, przez ostatnich lat pięć musimy składać najwyższe ofiary w walce o jej odzyskanie. Zaledwie w ciągu lat osiemnastu na przestrzeni czasu zbyt krótkiej, by z dziecka wyrósł człowiek dojrzały, mogliśmy się względnie spokojnie rozwijać, wyrwać z naszej ziemi uporczywe kamienie polskiej biedy, starać się — już nie dorównać — ale przynajmniej zgaczyć się ze szczęśliwszymi od nas w stałym postępie materialnym.

Dzisiaj, po 6 latach wojny, rozpoczętej przez państwo polskie, zaopatrzone w wyraźną gwarancję Wielkiej Brytanii, sytuacja kraju przypomina zgórą stuletni czas panowania na naszej ziemi obcej przemocy i rządów, opartych na okupacji wojskowej. Mimo zwycięstw alianckich, ofiarnych bitew polskiej armii, mimo niemieckiej przegranej i zbliżania się ostatecznej klęski, jeszcze ani jeden skrawek polskiego terytorium nie znajduje się we władaniu Niepodległej Rzeczypospolitej. W takim momencie rocznica listopadowa jest przede wszystkim przypomnieniem ciągłości istnienia państwa i ciągłości woli narodu, który poprzez insurekcję i rewolucję, partyzanckie powstania i regularne wojny nieustannie dopomina się o swe niezaprzeczalne prawo rządzenia na własnej ziemi.

Wokoło dnia 11 listopada, daty ogłoszenia zawieszenia broni na froncie zachodnim w pierwszej wojnie światowej, skupiło się kilka t.zw. „dni niepodległości”, uroczyscie obchodzonych przez narody, które dzięki upadkowi Niemiec i deklaracji Wilsona uzyskały samodzielny byt państwowy. Łotysze, Estończycy, czy nawet Czesi mają pełną rację, by taką właśnie rocznicę uważać za swe główne święto narodowe.

Natomiast inna jest sytuacja Polski. Nasz naród nie musi wiązać powrotu niepodległości z 11-tym listopada, gdyż w ciągu swych dziejów nigdy z niej nie rezygnował, nigdy nie zacierając się odrębność Polski w państwie, okupującym część jej obszaru, a daty 1807-12, 1830-31, 1846 i 1848, 1863-64, 1905 znaczący ciągle zbrojne protesty przeciw zaborczym rządóm.

Pierwszy i drugi rozbiór zachowywały jeszcze pozory wymuszonej zgody, natomiast rozbiór trzeci, ostateczny i najważniejszy, gdyż zmyślał państwo polskie z mapy Europy, był już wyłącznie poufnym układem dyplomatycznym i operacją wojskową.

Zaledwie w dwa lata po tragicznej dacie 1795 r. powstaje pieśń o tej, co „nie zginęła”, i Legiony wznawiają moralne przymierze Polski z nową Europą rewolucyjną, nawiązane Konstytucją 3-go Maja. Księstwo Warszawskie przywraca na części ziem polskich stan legalny poprzez połączenie zasady suwerenności narodowej z suwerennością monarchy i powołanie na tron warszawski księcia saskiego, wyznaczonego Konstytucją Majową na dziedzica Stanisława Augusta.

Po upadku Napoleona Kongres Wiedeński zachowuje odrębność Królestwa Kongresowego, sejm zaś powstaje jeszcze bardziej akcentuje samistność polską przez detronizację Mikołaja I-go. Nikt odtąd nie będzie usiłował uważać carów rosyjskich za wyrazicieli woli Polaków — ster niewidzialnego państwa obejmuje emigracja, kierując dalszymi próbami walk. Toteż kiedy w listopadzie 1918 r. wycofują się z Polski okupacyjne wojska niemieckie, faktem staje się nie stworzenie Polski, nie nadanie, czy uznanie jej niepodległości, lecz wyraźny powrót do właściwego stanu prawnego poprzez odbudowę państwa. Przy kształtowaniu granic odrodzonej Polski ostatecznym wyrazem naszego i obcego poczucia prawnego będzie formuła traktatu, zawartego ze Związkiem Sowieckim w Rydze, mówiąca o rezygnacji Polski z praw do ziem, położonych na wschód od ustalonej linii granicznej.

Gdy więc używa się nazwy polskiego święta niepodległości, należałoby raczej szukać jego daty w dalekich dziejach Chrobrego, w dniu ogłoszenia Bolesława patrycjuszem Rzymu, w dniu koronacyjnym, lub może nawet w momencie hołdu Mieszka I, symbolizującym przyjęcie Polski do rodziny narodów chrześcijańskich i wejście jej w skład organizacji politycznej Europy Zachodniej, co choć nie odpowiada nowoczesnemu pojęciu niepodległości, było jednak w pełnej zgodzie ze średniowiecznym odczuwaniem i określaniem odrębności państwowej.

Znamienne też, że Polska odrodzona zadołowała się z początku tylko jednym świętem narodowym: dniem Trzeciego Maja. Instynkt społeczeństwa zwrócił się ku kontynuowaniu naszych dziejów i postanowił czcić dalej tę rocznicę, którą obchodzono za krwawą cenę pod rządami zaborczymi i którą uważano za najradośniejsze wydarzenie ostatnich lat Rzeczypospolitej. W ciągu całego okresu zaborów data Konstytucji była symbolem świadomego stwierdzenia woli niepodległości i związku Polski z ideałami Zachodu.

Natomiast dzień 11-go listopada, uroczystość z początku skromna, rosnąca do miary narodowego święta stopniowo głównie pod wpływem ludzi, stojących swego czasu na czele jednej z najważniejszych grup, idących zbrojnie ku niepodległości. Dla nich bowiem była data listopadowa ukoronowaniem wszystkich wysiłków, znakiem spełnienia marzeń. Terminem powrotu do ojczyzny. Od nich przejęto ten stosunek starsze pokolenie, zadowolające się obchodem 3-cio majowym, oni też nauczyli czcić ów dzień pokolenie młodsze, nie uczestniczące jeszcze w wojnie światowej i wskutek tego pozbawione również osobistego stosunku do momentu zawieszenia broni i ogólnego powstania w kraju przeciw wszelkiego gatunku okupantom.

Zdawałoby się, że dziś, kiedy w 21 lat po powrocie nastąpił nowy exodus, i to często ludzi tych samych, kiedy historia powtórzyła się dla nas boleśnie, zblaknie blask owej rocznicy. Niewątpliwie kiedyś zastąpi ją nowe święto, święto naszego powrotu z emigracji i ponownego powstania w Kraju. Oby stało się to jak najprędzej i oby ta nowa data była w równej mierze nie tylko pamiątką wyłączenia polską, ale symbolizowała powrót prawa i sprawiedliwości tak, jak go symbolizuje dzień armistice’u w pierwszej wojnie światowej.

W numerze:

W. Broniewski: Middle East. — E. Mieroszewski: Prawo Europy. — M. Petry: Porachunki. Księżyc, chytry golibroda. — J. Stawski i L. Kleczewski: Konwencja Genewska. — K. Prus: Brytyjska i nie brytyjska polityka. — Z. Ludowej prasy krajowej: Światopogląd chiński. Demokracja na nowych torach. Podstawy nowego życia. — Wśród książek. Z. Nagórski: Sprawy wojenne. H. S. Dominik: „Rewolucja naukowa”. — Scrutator: Polonica w książkach angielskich. — Z. Broncel: Paszkwil Fredry. — H. S. Dominik: Opinie angielskie. — Czy sowieckie Królestwo Polskie? — ww.: Przegląd polityczny. — J. Martyka: Kronika filmowa.

systemu, w razie jeźeliby ruchy rewolucyjne ogarnęły Europę. Toteż pomimo iż rząd brytyjski prowadził już od szeregu lat politykę rozbijania jedności Świętego Przymierza, zarówno w sprawach południowo-amerykańskiej, jak i greckiej, przeciwdziałając w ten sposób okrzepnięciu jednolitego bloku państw kontynentalnych — mężów stanu nad Tamizą prze-
rażała myśl takiego wyłamywania się z systemu powideńskiego, które otwierałoby drogę zmianom rewolucyjnym.

W Anglii dyskutowana właśnie jest sprawa reformy wyborczej. Po wypadkach lipcowych we Francji tłum angielski wybija szyby ks. Wellingtonowi, dotąd najpopularniejszemu człowiekowi w Zjednoczonym Królestwie. Whigowie wygrywają. Lord Russel jest uwielbiany. „Gdy mnie pytają, czy jakiś naród jest dostatecznie dojrzały do rządzenia się, pytam, czy jest człowiek dojrzały do tego, by być autokratą” — brzmi jego aforizm, który mu zyskuje serca tłumy. Ale czy można coś więcej wiedzieć o tych rewolucjonistach polskich? Czy obalenie uswięconego systemu na kontynencie nie byłoby groźne dla porządku w samej Anglii?

Detronizacja Mikołaja, dokonana przez Sejm Warszawski, uznana była przez Francję i Anglię za błąd powstańców. Państwa te nie mogły już więcej interweniować, zdaniem ich ówczesnych ministrów, w sprawie polskiej. Nie było podstaw do żądania wykonania klauzuli traktatu wiedeńskiego ze strony Rosji, skoro Polacy sami nie utrzymali się w jego granicach. Nie było to powstanie, lecz wojna polsko-rosyjska. Powstańcy ogłaszali się przedstawicielami państwa niepodległego, nieistniejącego w czasie Kongresu. Łamało to zasady stworzonego tam porządku.

Anglia przewidywała możliwość powstania wspólnego frontu austriacko-francuskiego, popierającego Polskę przeciwko carowi. W Londynie przypuszczano, że Metternich nie opuści okazji szaszkodzenia Rosji. Wiedziano o jego próbach zbliżenia się do Francji w ostatnich latach panowania Karola X, o rokowaniach z bonapartystami, którym austriacki kanclerz obiecywał wznowienie cesarstwa, z ks. Reichstadt jako Napoleonem II. Wszystko to skłaniało Anglię do zajęcia stanowiska prorosyjskiego. Po zdobyciu Warszawy lord Palmerston, w którego rękach pozostawał wówczas ster polityki zagranicznej, wita „zwycięskie wojska rosyjskie jako przywrócenie prawa i lojalności w Królestwie”. We Francji premier Casimir Périér na interpelację w sprawie polskiej odpowiada, że „krew i pieniądze Francji należą tylko do Francji”. Kiedy Sebastiani zapewniał w chwili upadku powstania, że „spokój panuje w Warszawie” — tłum reaguje, burzy się, manifestuje na cześć Polski. W Paryżu wybuchają trzydniowe walki na barykadach. I potem fala opada. Pozostają liczne objawy biernych sympatii dla powstańców i wykalkulowana obojętność rządu, zabiegającego o łaski wszechwładnego Samodzierżcy Wszechrosji.

Odosobnienie polityczne Polski w tej walce było zupełne.

Polska nie była jednak odosobniona ideologicznie. Miała się o tym przekonać emigracja.

Pochód wychodźców z Polski poprzez Niemcy stał się prawdziwym marszem tryumfalnym. Hasło powstania „za naszą wolność i waszą” czyniło zeń walkę o świętą sprawę wolności w Europie. W Niemczech dojrzało właśnie pokolenie, wychowane w zasadach rewolucji francuskiej.

Tak gorące przyjęcie w poszczególnych krajach niemieckich, rządzonych przez reakcyjnych władców, kazało przypuszczać, że we Francji, gdzie panował „król barykad” Ludwik Filip, emigracja znajdzie jeszcze więcej zrozumienia. Toteż z ogólnej rzęsy wychodzącej około dziesięciu do dziesięciu tysięcy — większość, przeszło sześć tysięcy, po-
dążyła do Francji. Idą w nadziei, że na ziemi francuskiej odrodzą się Legiony, że wkrótce w szyku zbrojnym będą mogli wrócić do kraju. Rzeczywistość rozwiała te złudzenia. Społeczeństwo francuskie przyjęło Polaków jak najlepiej. Pod wpływem opinii publicznej rząd francuski nie mógł nie udzielić gościny u-
chodźcom, jednakże poczynił wszelkie kroki,

*) Fragment większej całości.

by uniemożliwić przybyzszom jakąkolwiek akcję polityczną.

Od pierwszych chwil emigracji ma ona do czynienia z odmiennym stosunkiem do niej rządów i społeczeństw. Decyduje to o wyborze linii politycznej większej części wychodźstwa. Polacy stają się, wszędzie gdzie są, czynnikami antyrządowym, wspierającym wszelkie przygotowania rewolucyjne.

Na starym sztychu z Epinalu widać wiarusa, otoczonego gromem podziwiających go ludzi. „C'est un Polonais” — głosi napis. Sztach ten przedstawia dobrze nastroje propagujące znacznej części społeczeństwa francuskiego. Tradycje bitew napoleońskich, bohaterska śmierć księcia Józefa, echa walk powstańców r. 1830 stworzyły dookoła Polski i Polaków aureolę bohaterstwa i cierpienia. W ciągu dziesięciolecia 1820—1830 zmagające się z reakcją w krajach Europy Zachodniej tajne związki utrzymywały bliską łączność z organizacjami polskimi.

Dla podkreślenia solidarności ruchu rewolucyjnego polskiego z dążeniami wolnościowymi Europy Zachodniej w początkowym jeszcze okresie powstania, 1 lutego 1831 r., generał Lafayette mianowany zostaje pierwszym grenadierem Gwardii Narodowej Polskiej. To on organizuje w Paryżu komitet francusko-polski. Komitet ów zbiera pieniądze dla powstańców, czyni zakupy broni, wreszcie wypuszcza wielką pożyczkę polską, finansowaną przez trzy największe banki Francji.

Po upadku powstania i przybyciu emigracji polskiej do Francji dzień każdy przynosi szereg drobnych kłopotów i trudności. Rząd Ludwika Filipa nie chce nieporozumień z Rosją. Pomny klęsk, poniesionych przez Francję u schyłku epoki napoleońskiej, dąży do pokoju i spokoju. W kwietniu r. 1832 Izba uchwała ustawę, przekazującą uchodźców spod opieki ministra wojny — ministrowi spraw wewnętrznych. Jest to koniec wszelkich snów o tworzeniu Legionów we Francji. Marszałek Soult, minister wojny, który w czasie, gdy walki trwały jeszcze w Polsce, wydał apel o pomoc dla „dawnych towarzyszy broni”, — milczy teraz. Opozycja gwałtownie atakuje projekt owej ustawy, nazywa ją ironicznie „ustawą Orliową”, gdyż w Paryżu bawił wówczas w drodze do Londynu jeden z najlepszych carskich dyplomatów, Orłow.

W wyniku zarządzeń rządu francuskiego większość wychodźstwa zgromadzona zostaje w Avignon, Chateauroux, Besançon. Wypłata zasiłków uzależniona jest od zamieszkania tych miejscowości. Komitet Francusko-Polski wspomaga szereg wybitniejszych przywódców emigracji, by mogli osiedlić się w Paryżu. Rząd rosyjski przez swych przedstawicieli we Francji żąda usunięcia ze stolicy głównych „buntowników” polskich. Walka toczy się teraz o prawo do swobodnego poruszania się, o możliwość szerszej działalności. „Mickiewicz blisko jest Paryża i o paszport się stara, bo tu nas do stolicy puszczają nie kazano...” pisze w liście z 20 lipca 1832 r. Słowacki.

Na trybunie Izby walczy o Polaków Lafayette. „Miałem oddać medal staremu Francuzowi — członkowi dawnych czasów”, — notuje w liście swym z 8 grudnia 1832 r. autor „Beniowskiego” o uroczystości wręczenia medalu dzielnemu sędziemu generałowi. Lafayette to przeżytek dawnej epoki rewolucyjnej walki o prawa ludów. Francja jest zmęczona rewolucjami, wojnami. „La noblesse wyniosła się prawie z Paryża, — la bourgeoisie, ta brylantowa poczwara, która zajęła jej miejsce, nie przypuszcza do siebie, tylko bogactw”, — zaznacza w jeszcze jednym ze swych listów Słowacki. We Francji rządzą bankierzy. Są przeciwni władztwu ludów. Głoszą hasła pracy organicznej. „Enrichissez vous”, — woła jeden z przywódców politycznych Francji tej epoki. Filozofowie i politycy odnajdują w latach trzydziestych słusność poglądów, uznawanych przez wiek XVIII. Kończy się walka z zasadami Wieku Oświecenia. Kwitnie kult Fryderyka II. Pokolenie ówczesne chce zachowania Praw Człowieka, ale ucieka od romantycznego gestu początków wieku XIX, szuka w filozofii i polityce śladów wieku XVIII, klasycyzmu i porządku. Błądny rycearz Rewolucji, Lafayette, jest rekwizytem innej, przebrzmiałej epoki. „Członkowi dawnych czasów...” — w słowach tych młodego poety brzmi słusna ocena rzeczywistości.

Wychodźstwo polskie też w większości swej nie należy do epoki. Marsowe postacie wojaków o rycerskich tradycjach nadają się do rycin ludowych, lecz nie do świata rozwijającego się kapitalizmu.

A jednak były to lata stosunkowo największego udziału Polski w kształtowaniu się pojęć w Europie. Okres rozkwitu sztuki i poezji polskiej na obym bruku. Poezja złości szarzyzną niedoli emigracyjnej. Garstka bezdomnych czuje się pielgrzymami, idącymi poprzez kraje Europy z dobrą nowiną. Wobec codziennych porażek wychodźstwo zamyka się ściślej w mistycyzmie. Na rozumowania odpowiadają, iż „są prawdy, o których się mędrcom nie śniło”.

Prawdą taką jest w życiu uchodźstwa silne i nieprzemijające umiłowanie ojczyzny, ukochanie wolności. W założeniach jego nie ma niczego racjonalnego, lecz jest potrzeba duszy każdego wychodźcy, tęsknota zbiorowa wszystkich razem.

Emigracja polska w latach 1830—1848 niosła wszędzie, gdzie stanęła, Ewangelię Wol-

ności, hasło walki z tyranją, wyrażającą się w Świętym Przymierzu. Nie był to jedynie program polityczny. Był to ruch ideologiczny, na którego podstawie wyrósł szereg koncepcji politycznych.

W owych latach przed Wiosną Ludów coraz wyraźniej kontynent dzieli się na dwie części. Jedną — to liberalna, rozkwitająca przemysłem, rządzona konstytucyjnie Europa Zachodnia. Druga — to rolniczo-feudalna, autokratyczna, reakcyjna Europa Wschodnia. Oparciem reakcji w latach tych jest Rosja. Prusy i Austria stanowią jakby szaniec obronny, nie dopuszczający do Rosji prądów z Zachodu. Polska to w szanicy tym wyżym. Należy ona do innej części Europy, niż ta, w której się znajduje.

Napięcie ideowe emigracji było wyjątkowo silne. Klęska r. 1831 uprzytomnia dopiero z całą wyrazistością społeczeństwu polskiemu jego ciężką sytuację. Dla większości Polaków okres lat 1770—1830 przedstawiał pewną organiczną całość. Rozbiory uważano za stan przejściowy, rodzaj okupacji wojennej. W chwili upadku powstania pomiędzy przeszłością a teraźniejszością powstała przepaść. Polska nie znała takiego ucisku, nie przechodziła nigdy dotąd przez lata tak strasznych represji, jak po upadku powstania. Austria i Prusy też skorzystały z końca polityki kłopotowania Polaków przez Rosjan. Mogły wreszcie znieść szereg stworzonych dla nich instytucji autonomicznych. Rządy Paskiewicza w Warszawie stały się hasłem do porzucenia polityki wykonania swobód, przyznanych Polakom na Kongresie Wiedeńskim, we wszystkich trzech zaborach. W r. 1833 dochodzi w Muenchengratzu do układu między rozbiorcami. Gwarantują sobie wzajemnie solidarność w sprawie polskiej. Na krwawiącym ciele Rzeczypospolitej odbudowane zostaje raz jeszcze Święte Przymierze.

Mikołaj poleca zbudować w Warszawie Cytadellę. Delegacji Polaków, przyjeżdżających do Łazienek, oświadcza w r. 1835: „Zareczam, że za najmniejszym poruszeniem każę zburzyć miasto i na pewno nie ja je odbuduję...”

Europa tkwi jeszcze w pełni w legitymizmie. Rządom ówczesnym wydaje się on jedyną gwarancją przed jakąś katastrofą powszechną, jakimś straszliwym chaosem. Postępowanie Mikołaja krytykowane jest przez przedstawicieli rządów zachodnich, którzy widzą w nim niewykonanie postanowień Traktatu Wiedeńskiego. Ale Europa jest pod wrażeniem siły Rosji. Car mówi o sobie, że jest władcą szóstej części świata.

W emigracji powstają dwa kierunki. Jeden nie liczy się z rządami, wierzy w bliską realizację sprawiedliwości w stosunkach między narodami, dąży do rewolucji powszechnej, która miałaby ją przyspieszyć.

Inny kierunek chce znaleźć dla Polski miejsce w ówczesnej Europie. Nie sądzi, by era sprawiedliwości miała być tak szybka. Szuka rozwiązań w dziedzinie polityki realnej. Chce Europę zainteresować losem Polski jako kraju, stanowiącego niezbędny człon każdej trwałej budowy Europy.

Czartoryski był jedynym w tej epoce polskim politykiem większego formatu. Znał on sposób myślenia gabinetów europejskich i obowiązujące wówczas formuły polityczne.

Myślą przewodnią Czartoryskiego jest związanie sprawy polskiej z narastającym konfliktem europejskim. Nie wierzy w trwałość struktury Europy pokongresowej. Szuka możliwości dla Polski we wszystkich ruchach politycznych i działaniach wojennych. Dąży do zachowania charakteru zbrojnego emigracji, bojąc się gnuśnienia rzeszy uchodźczej.

Bem jedzie do Portugalii, by po stronie konstytucyjnego monarchy organizować Legiony przeciwko reakcyjnemu Don Miguelowi. W Belgii Kruszewski, Linowski, Pruszyński i Skrzyński budują armię młodej monarchii. Największą jednak nadzieję przywiązywał Czartoryski do misji generała Dembińskiego w Egipcie. Przez bliskość Rosji teren Bliskiego Wschodu wydawał się szczególnie ważny dla wszelkich działań politycznych. W miarę gdy malały szanse wybuchu konfliktu europejskiego w Belgii (którego Czartoryski spo-

dziewał się do r. 1839). Wschód pociąga coraz więcej jego wyobraźnię. Od r. 1836 tworzy już cały, logicznie zbudowany systemat w sprawach wschodnich. Jest coś wyjątkowego w uporze tego człowieka, który utrzymywał na poziomie państwowym własną politykę zagraniczną. Przedstawiciele jego docierają tam, dokąd nie śmiały się gabinetu europejskiego. Powstanie Szamila daje mu okazję do nawiązania stosunków z ludami Kaukazu. Ruchy wyzwolenicze na Bałkanach służą za podstawę do projektu odnowienia świata słowiańskiego w oparciu o Turcję. Przeciwwaga Zachodnią Słowiańszczyznę, pod przewodnictwem Polski, koncepcjom słowiańskim Rosji. Kreśli plan Unii Słowian na Bałkanach. Popiera dążenia niepodległościowe Rumunów, torując drogę do rządów państw zachodnich Bratianu i innym bonjouristom. Dom Czartoryskiego w Paryżu staje się wielkim salonek ludów Europy Środkowej i Bliskiego Wschodu, zwłaszcza gdy w r. 1843 osiedla się w Hôtel Lambert.

Od r. 1841 istnieje wschodnia Agencja Główna Czartoryskiego w Stambule. Stali jego przedstawiciele rezydują w Belgradzie, Tyrnovie, Jassach, Bukareszcie, na Kaukazie.

Koncepcje wschodnie zbliżają go do Anglii więcej niż do Francji. Czartoryski pragnie sojuszu francusko-angielskiego. Anglia nieufnie traktuje Francję, lecz pilnując przede wszystkim drogi do Indii, widzi wyrastający cień Rosji. Polityka europejska lat czterdziestych obraca się dookoła zamierzeń Mikołaja I. Wizyta jego w Londynie w r. 1844 ma na celu pozyskanie Anglii dla projektów podziału Turcji. W Londynie są przerażeni ambicjami cara. Wydaje się, że pomimo niechęci statystów brytyjskich awanturowania się w sprawy kontynentalne, na tle obawy ekspansji rosyjskiej Anglia będzie musiała wyjść ze swej rezerwy.

Szersze rzesze emigracyjne nie rozumiały polityki Czartoryskiego, nie doceniały jej rozmachu. Reagowały żywo na każdy jego gest, krytykowały poszczególne posunięcia, burzyły się, gdy rozeszła się w r. 1839 wieść, że Czartoryski pragnie się ogłosić królem Polski.

Pierwszym odruchem społeczeństwa uchodźczego było dążenie do zerwania z niewdzięcznym Zachodem. Walka z najeźdźcą ma być prowadzona tylko własnymi siłami. Komitet Narodowy Polski pod przewodnictwem Lelewela, zagrożony przez Mochnackiego, posługując się tezą, że „niczyjej pomocy nie odrzucamy, ale w niczyją pomoc nie wierzymy”, doprowadza do nieszczęśliwej wyprawy Zaliwskiego. Pomimo programowego założenia niewiary w obcą pomoc, plan powstania oparty był o projekt wywołania ruchów rewolucyjnych w Niemczech — we Frankfurcie nad Menem i w innych miastach, które wydawały się dojrziałe do zrywu. Wszystkie zamierzenia dyskutowane były z Lafayettem i organizacjami zagranicznymi. Rewolucja w Niemczech kończy się na słabych zamieszkach we Frankfurcie. Wyprawa Zaliwskiego — szeregiem szubienic, długim łańcuchem kibitek, wiozących na Sybir.

Emigracja nie przestaje przygotowywać powstania, lecz powszechniejsze staje się zrozumienie, że nie należy rozpraszać sił na złe przygotowane wyprawy. Trawią uchodźstwo wewnętrzne „potępienie swary”. Polityce, zagadający się ongi w „Honoratce”, z zadziwiającą zręcznością potrafią się przystosować do nowych warunków, odmiennego środowiska. Gardłują dalej, budzą problemy już zapomniane, kłócą się między sobą o dawne błędy i obecne przesostwa, obchodzą uroczystości „Święto Powstania”, „Święto Wawru” i „Święto Grochowskie” i odchodzą coraz dalej od rzeczywistości.

Gdy w Europie Zachodniej w wyniku rozwoju przemysłu rodzą się nowoczesne ruchy społeczne, Polacy pozostają za nimi w tyle. Wnoszą na początek przeżyciami swymi i myślami nową nutę do poglądów Europy Zachodniej. Zapłodnili i pchnęli naprzód niejedną z koncepcji rewolucyjnych, — potem spadają na wody coraz bardziej miazg lub idą korytami coraz dalszymi od głównego nurtu myśli Europy Rewolucyjnej.

Wielki kryzys r. 1847 stanowi podłoże gospodarcze dla Wiosny Ludów. Z kraju nadchodzą wstrząsające echa rzezi galicyjskiej r. 1846, nieudanego powstania krakowskiego.

Rok 1848 wydaje się nieść realizację wielu marzeń. Bismarck w pamiętnikach swych zwraca uwagę na wielką rolę Polaków w zamieszkach berlińskich. Czartoryski stara się niwelować różnice pomiędzy ludami, walczącymi o wolność. Dąży do ułożenia stosunków pomiędzy Słowakami a Węgrami, oddziaływując na Słowian południowych celem powstrzymania ich od akcji przeciw-włoskiej i przeciw-węgierskiej. Polscy generałowie są w modzie. Chrzastowski dowodzi wojskiem sardyńskim, Bem i Dembiński — węgierskim, Mierosławski — na Sycylii i w południowych Niemczech. Ale już w pojęciu przemawiającego w parlamencie frankfurckim Karola Marxa Polacy pozostali błędni ryccerzami dawnych czasów. Nie utrzymała się międzynarodówka ludów, walczących o wolność z tyranją rządów. Głód swobód politycznych staje się czymś mniej ważnym od głodu chleba, walki klas. Rządy wygrywają. Bez programu społecznego, zapóźniona w odczuciu nowych czasów emigracja polska przestaje odgrywać rolę zaczynu nowej Europy. Prowincjonalnie i gorzko nie w swym odosobnieniu.

Po chwilowym upadku roli stambulskiej Agencji Czartoryskiego (w wyniku wydarzeń roku 1849 i nacisków Rosji na Turcję w sprawie wydania polskich generałów) — przybliżający się konflikt zdaje się nieść w sobie nadzieję oczekiwanej przez Polaków Wiosny Ludów.

Już pierwsze jednak działania sprzymierzonych przeciwko Rosji mocarstw wykazały, że nikt do wojny nie jest przygotowany. Obłężenie Sebastopola wlokło się nieznacznie dłużej. Armie uzbrojone były w przestarzały sprzęt, politycy różnili się co do celów wojny. Polskie dywizje odegrały rolę mniejszą, niżby się spodziewać należało po tak dawno oczekiwanej okazji do walki. Brakło synchronizacji polityki emigracyjnej z działalnością w kraju. Na ziemiach polskich najmniejsze drgnięcie nie wskazywało na chęć skorzystania z zajęcia Rosji na południu. Plany Czartoryskiego, zainteresowania Austrii wojną przeciwko Rosji — nie powiodły się. Wiedzący mówili o stanie byli jak zwykle spóźnieni „o jedną ideę i jeden korpus”. Austria przypłaci swe ówczesne wahania utratą Lombardii, upadkiem znaczenia w Niemczech i Sadową, w dalszej konsekwencji — zupełnym rozbićciem.

Aż do traktatu paryskiego Czartoryski utrzymuje na poziomie państwowym politykę polską. Polska jest niewidzialnym mocarstwem w koncercie europejskim. Przez szerokość swych horyzontów i myśl twórczą Czartoryski wytyka nierzadnie linie poczynania wielkich mocarstw zachodnich na Wschodzie. Jego zielone teczki zawierają najlepszą w owych czasach dokumentację spraw ludów wschodnich. Sięgał, gdzie polityka polska nigdy nie docierała. Swym dorobkiem myślowym toruje drogi polityce zagranicznej nowoczesnego Państwa Polskiego.

Wszystkich swych poczynaniach dokonuje w mniejszym lub większym odosobnieniu. Jak pisze w r. 1867 Norwid: „opisany i o drukowany jako zły Polak we wszystkich dziennikach emigracyjnych” — ale często skrycie podziwiany. „Ostatni szlachcic”, — przydomek ten później w stosunku do innych używany, — nadawano wówczas Czartoryskiemu. Pomimo wszystko rozumiano wyjątkowość jego postaci.

„Kiedys ze sto was tysięcy
Było szlachty z serc i lic...
Dziś — jednogdem znalazł szlachcica,
Kraj ich cały nie znalazł więcej...
Jeden tylko, serca męka,
Zamarami, choć nie skutkiem,
Wielkim — cichym — dumnym smutkiem...”

— pisze w swej charakterystyce poetyckiej Czartoryskiego Słowacki. Traktat paryski to koniec wielkiej polityki Emigracji. Jeszcze za życia w r. 1859 nowe nadzieje, ale jak to stwierdza w swym, pisanym w r. 1861 testamentie, Czartoryski — dalsze losy Polski brał w swe ręce Kraj.

Emigracja odbyła za naród wielką drogę. Wniosła do jego dorobku myślowego trwałe wartości. Uprzytomnia światu niezniszczalność Polski oraz że Polska jest nieodzownie potrzebną i ważną częścią Europy. Pocucie tego będzie się potem nierzadnie zamykać. Sprawa polska zjedzie z porządku obrad gabinetów do odczuć i nastrojów ulicy. Gdzieś, czasem krzykną: „Vive la Pologne, Monsieur!” przejeżdżającemu carowi. Potem coraz ciszej i mniej będzie o Polsce. Przyjdzie pokolenie, które będzie się bało marzyć o niepodległości ojczyzny. Tradycje Wielkiej Emigracji podejmą dopiero wnuki.

Emigracja przeżyła lata swoje w niedoli, walce i nadziejach. „Miejsce, gdzie teraz jestem, mogę w pewnym względzie za rozległe uważać więzienie. Nie pojmiecie tego, jak nam źle, jak nigdzie przytułku nie ma” — pisze w pierwszych jeszcze latach wychodźstwa Słowacki. „Niestety, jacy my starzy kiedyś wrócimy do was, ile kłamstw i przesadzonych opowiadań będzie grzmiało pośród towarzyszy...” — martwi się w innym liście do Matki.

Nie wrócili nigdy. Do Polski dotarli tylko myśli ich i tęsknoty.

Bohdan Łączkowski

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

MIDDLE EAST

Ja nie chcę Palestyny,
Syrji, Iraku, Egiptu,
od cyprysów wolę kaliny,
wolę brzozę niż eukaliptus.

Sosny tutejsze — nie te,
kwiaty tutejsze — nie tamte,
innego przyslijcie poetę,
żeby się cieszył Lewantem.

Tutaj historia zamarta,
tutaj dzieje są „Made in Britain”, —
tam Warszawa skacze do gardła,
jak ibrytan!

Wśród wierzb płaczących strumieniem

tamtędy płyną,
walczą tam bezimiennie
i beztrumiennie giną.

Tam giną ludzie, miasta, stolice,
tam naród w walce, —
a ja tu chodzę,
depczę jerozolimskie ulice
i gryzę palce.

Ja chcę kiedyś... na Zolibornu...
choćby na krótko...
Jeśli nie —
nad Śródziemnym morzem
zdechnę ze smutku.

EWA MIEROSZEWSKA

PRAWO EUROPY

Epokowa waga tego wszystkiego, co się dzieje w ostatnich kilku miesiącach, nie polega na doniosłości rozwoju sytuacji strategicznej i militarnej. Ostatecznie, już od blisko dwóch lat Narody Zjednoczone kroczyły drogą zwycięstwa, a definitywna porażka Niemiec uważana była już tylko za kwestię czasu.

Wspaniałe efekty ofensyw alianckich na Niemcy ze wschodu i z zachodu przyćmiły nieco wypadki polityczne, wywołujące świadomość, że oto ważą się w gabinetach konferencyjnych i przy zielonych stołach ministerialnych losy przyszłego świata na liczne może pokolenia. Konferencje w Quebecu, w Dumbarton Oaks, a ostatnio w Moskwie dały Wielkiej Trójce możność przystąpienia do preliminaryjnych dyskusyj nad ramową konstrukcją organizacji powojennej globu. Narazie narady te ograniczały się do trzech wielkich partnerów, bez udziału przedstawicieli innych Narodów Zjednoczonych. Nic więc dziwnego, że narody te — w szczególności narody mniejsze — śledzą wykreślane bez nich a dla nich zarysy przyszłości nie tylko z największym zainteresowaniem, ale i — co tu mówić — z niepokojem.

Nie tylko bowiem nie są one reprezentowane przy stole tak ważkich dla przyszłości Europy obrad, ale brak przy nim nawet jednego — po powaleniu Niemiec — wielkiego mocarstwa kontynentalnego, jakim jest Francja. Zarezerwowano jej wprawdzie miejsce stałego członka Rady Bezpieczeństwa, ale w przyszłości — w terminie bliżej nieokreślonym. Przypuszczali niektórzy, że termin ten będzie pokrywał się z terminem uznania rządu gen. de Gaulle'a jako Tymczasowego Rządu Francji.

Tak długo przez Wielką Trójkę odwiekane uznanie (rząd polski uznał rząd de Gaulle'a jeszcze w czerwcu b. r.) — nastąpiło wreszcie. Ale nie pociągnęło ono za sobą dopuszczenia Francji do pełnoprawnego udziału w obradach międzynarodowych.

Nie jest moim zadaniem dyskutować na tym miejscu na temat tej zwłoki. Dla nas ważne jest to przede wszystkim o tyle, o ile bezpośrednio dotyczy losów Europy jako kontynentu, na którym Francja odgrywała od stuleci tak wielką, dominującą rolę i z którym dziś — po swym oswojeniu — bardziej bodają niż kiedykolwiek w dziejach ściśle jest związana.

Zapewne, w r. 1940 Francja zawiódła Europę, która tak wielkie pokładała w niej nadzieje. Zawiódła przede wszystkim swoich najbliższych sojuszników, których wycofanie się jej z akcji pozostawiło osamotnionych w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Ale historia jest dziś zmotoryzowana — koła jej obracają się szybko. Od r. 1940 upłynęły cztery lata. I dziś sytuacja i postawa Francji są zupełnie inne niż wtedy.

Po okresie okrutnej niewoli, tym straszniejszej, że zaakceptowanej niejako przez oficjalne czynniki Vichy, po tragicznych latach najdramatyczniejszych kontrastów: zdrady i poświęcenia, żądzy korzyści i ducha najczystszej ofiary, poniżenia i uległości wobec wroga i napiętnowanych przykładów godności i dumy narodowej — Francja powstała dziś z grobu jak Łazarz. Powraca do życia — powraca do głosu. Jeszcze głos ten jest słaby. Jeszcze przytłumiony echemi niewoli i głębokim wstrząsem biologicznym, ekonomicznym a przede wszystkim moralnym, jaki przeżyła w ostatnich latach. Ale już — poprzez bezpośrednie potrzeby dnia, poprzez gorączkowy pośpiech reorganizowania codziennego bytu milionów Francuzów, poprzez zgrzyty i urazy niedawnej klęski — głos ten przebijając się zaczyna najczystszym brzmieniem, najpiękniejszym echem wielkich tradycji francuskiej myśli — francuskiego ducha.

Kiedy na łamach „Marseillaise” czytamy sformułowany przez Mauriac program odrodzenia Francji: „Musimy nauczyć się, jak z Narodu Wolnego stać się mamy Narodem Silnym i jak, będąc Narodem Silnym, pozostać Narodem Sprawiedliwym” — trudno nam oprzeć się wzruszeniu. Jakże dawno nie słyszeliśmy w Europie takich haseł! Jakże dawno poszły na naszym kontynencie w zapomnienie szlachetne ambicje ławienia siły za sprawiedliwość! Jakże przywykliśmy widzieć w sile symbol ucisku, przemocy i cynizmu!

W programowym swym artykule Mauriac nie daje się unieść łatwemu optymizmowi. Francuzi lubią jasno myśleć. Nie łudzi się on,

by powalenie Niemiec miało być jednoznaczne ze zniszczeniem ich trującego posiewu w dziedzinie moralności międzynarodowej. Tragédią Europy — pisze on — nie była tylko z zewnątrz narzucona okupacja. Europa została zraniona i skażona w samej swej istocie — w swym duchu!

Odrodzenie Europy widzi Mauriac w odrodzeniu człowieka, w renesansie nowego humanitaryzmu. A odrodzenie takie możliwe jest jedynie przez wolność. Nie chodzi tu tylko o wolność polityczną, ale o zwrócenie człowiekowi tej najistotniejszej wewnętrznej wolności, niezależnej od wszelkich potęg tego świata, tej najintymniejszej domeny jednostki — „królestwa, w którym chrześcijanin odnajduje swego Boga, a niewierzący korzysta z nieograniczonej wewnętrznej autonomii”...

Tę właśnie wolność człowieka pogwałcono najokrutniej w tych „czasach pogardy”. Mauriacowi obojętne jest, w imię jakich fałszywych bogów to uczyniono: rasizmu, czy państwa, takiej czy innej doktryny partyjnej. Gwałt pozostaje gwałtem, a skutki jego są zawsze trujące.

„W miarę jak wróg staje się słabszy, a upadek jego się przybliża, w miarę wyzwalania przez wojska sojusznice coraz to nowych terenów — narody Europy, zmuszone przez kilka lat do milczenia, walczące o samo swe istnienie — o materialny wprost byt — zaczynają upominać się i o inne swe prawa, niemniej istotne, a niemniej zagrożone.

Europejczyk nie tylko bowiem chce żyć, jeść i odziewać się. Chce on żyć pełnią życia — a pełnię tę widzi jedynie w wolności. Europejczyk chce myśleć, jak myśleć przywykł od stuleci: samodzielnie, krytycznie, rozmaicie, swobodnie. Z tej bowiem wielorakości, z tego zróżniczkowania i z tej wolności narodziło się pod auspicjami myśli chrześcijańskiej to, co nazywamy kulturą europejską.

Jeżeli Niemcy stracili prawo mianowania się Europejczykami, to właśnie dlatego, że dobrowolnie — na wiele lat — wyrzekli się prawa wolności myśli, zakuwszy się sami w niewolę psychicznej i umysłowej tyranii, którą — na domiar złego — narzucić chcieli innym narodom Europy.

Wrogiem Europy jest każdy, kto jej to najświętsze prawo do wolnego myślenia pragnie odebrać, zakwestionować czy ograniczyć. Skądkolwiek by szło to zagrożenie i dla jakiegokolwiek działałoby celu — Europa odrzuci je i odepchnie. Inaczej przestałaby być Europą. Utrata wolności myśli jest dla Europejczyka ceną, której za żadne dobro tego świata zapłacić się nie zgodzi.

Wierzyli Niemcy, że poprzez „Gleichschaltung” ułatwią sobie życie, otworzą sobie drzwi do wielkości i siły, okupią prawo do władania innymi. Ich bankructwo winno być nauczką dla wszystkich zwolenników „porządku”, utrzymywanego przez tajną policję, obozy karne, represje i przymus. Europa wie, że prawdziwy ład musi opierać się na ładzie wewnętrznym, ładzie organicznym przyswojonym, a nie powierzchownie narzuconym. Europa nie chce rozwiązań łatwych, chce rozwiązań trwałych. Nie pragnie ona szczęścia według jednej, standardyzowanej recepty, ani życia według jednolitego szablonu. Harmonię widzieć przywykła w różnorodności, a nie w szarzyźnie monotonii.

Zdawałoby się, że rzeczy te są tak jasne i oczywiste, że nie warto wprost o nich pisać. A jednak... W obliczu ostatnich konferencji Wielkiej Trójki, w obliczu już dość jasno zarysowujących się ram zamierzonej powojennej organizacji świata, trudno nie żywić obaw, by w rozmachu wielkiej, planetarnej polityki, w rozpedzie planowania globalnego te proste prawdy nie zostały pominięte czy zapomniane.

MARIA PETRY

PORACHUNKI

...jeszcze Ty po mnie zatęsknisz,
jeszcze Ty po mnie zaszlochasz,
a wtedy po cichu się przynasz,
że jednak... jednak mnie kochasz.

Ale to będzie nie w porę,
za słabo — za późno — za mało
i spłynie tak jakiś po mnie
i nawet — nie będzie bolało..

Świat składa się z kontynentów tak bardzo od siebie różnych, tak gruntownie odmiennych, że nie sposób traktować je jako jednokowe, równoważnościowe jednostki. To, co może być pożyteczne w planowaniu bezmiernych, cofniętych w rozwoju przestrzeni Azji, będzie potwornym nieporozumieniem dla o tyle mniejszej, ale o ileż dojrzalszej Europy. To, co odpowiada duchowi młodego, bogatego kontynentu amerykańskiego, nie może obowiązywać przeludnionej, obarczanej historycznym balastem Europy. To, co może stanowić szczęśliwość różnorodnych ludów i szczepów, wchodzących w skład republik sowieckich, stać się może zgubą i zatrutą głęboko uświadamionych i nawskroś indywidualnych narodów Europy.

Nikt się wszak nie łudzi, aby najlepiej nawet przez najtępsze mózgi obmyślony system powojennej organizacji świata mógł być systemem idealnym, rozstrzygającym raz na zawsze wszystkie problemy i konflikty życia międzynarodowego. Ale mamy prawo spodziewać się, by — bez względu na to, czy nowa budowa okaże się w pełni odpowiednia dla celu, któremu ma służyć — fundamenty jej były trwałe. A te fundamenty stanowić winien pewien stały, nie podlegający koniunkturze i grom politycznym kodeks praw moralnych, obowiązujących bezwarunkowo wspólnotę cywilizowanych narodów. Jeżeli kosztem potwornych ofiar tej wojny taki fundament budaj zdołamy ugruntować, cała nadbudowa będzie miała szanse trwałości, a jeśli wykaże pewne braki czy niedociągnięcia — w miarę potrzeb i warunków będzie je można korygować i dopasowywać, *nie naruszając fundamentu*.

Założenia Karty Atlantycznej i Cztery Wolności Roosevelta są próbą takiego kodeksu zasad i — pomimo że sformułowane zostały poza Europą — duchowi europejskiemu w pełni odpowiadają. Ale trudno nie żywić obaw, gdy patrzy się na to, jak ten, raz położony, kamień węgielny przyszłej struktury świata, już dziś zaczyna się przesuwać i obrabiać, usiłując przystosować jego kształt do takich czy innych koniunktur i układu sił, zamiast aby przyszłą budowę do niego dostosować. Co z tego kodeksu zostanie, jeśli już dziś, przed wejściem w życie, zaczyna się go naginać?

Kultura europejska, cywilizacja białego człowieka, wykształciła pewien zasób pojęć i odpowiadających im terminów. W każdej dziedzinie nauki terminologia ściśle uzgodniona jest rzeczą podstawową.

Jedynie w domenie polityki międzynarodowej nastąpiło w naszym stuleciu jakieś pomieszanie języków, gorsze niż przy budowie wieży Babel. Ten nowy kurs filologiczny poparł w pełni hitleryzm, który — jako doktryna — zerował najpełniej na bezmyślności mas i nadużył słowa, poczynawszy od nazwania siebie samego „narodowym socjalizmem”. Dziś już nikt w końcu nie wie, co się rozumie pod słowem „wolność” — „równość” — „demokracja” — „suwerenność” i t. p. Większa część treści znaczeniowej słów ukryła się w mrokach „reservatio mentalis”. Słusznie stwierdził jeden z posłów brytyjskich w debacie w Izbie Gmin, poświęconej zagadnieniu rozwiązania konfliktu pomiędzy Polską a Rosją, że mocno sobie należy uświadomić, iż nie wszyscy Sprzymierzeni jednym przemawiają językiem. Kiedy Stalin mówi, że pragnie „silnej i niepodległej Polski” — rozumieć winniśmy: „chcę, by Polska była silna, ale ja jej wyznacze granice; chcę, by była niepodległa, ale pod rządami, które ja jej narzucę”. Jest to tylko jeden z przykładów owego pomieszania pojęć i terminów, które coraz bardziej zaciemniają horyzont przyszłości świata.

To wszystko jest sprzeczne z duchem ła-

cińskiej ścisłości i jasności myślenia, reprezentowanej przez umysłowość francuską, której my, Polacy, zawsze byliśmy gorącymi zwolennikami i wyznawcami. Na Francję patrzymy z wyczekiwaniem i nadzieją, że jej odrodzony duch, jej „clarté latine” potrafią w mętne fale werbalizmu polityki międzynarodowej rzucić snop czystego światła, stać się w niej czynnikiem ładu, przeciwwagą zarówno dla germańskiej mistyki, jak i słowiańskowschodniej rozlewności i płynności pojęć. W jej cechach, wspartych o brytyjski rzetelny „common sense”, upatrujemy oparcie dla przyszłego systemu myślenia i wartościowania.

Stany Zjednoczone, kontynent wielkich możliwości i kolosalnego dynamizmu, pomimo iż zamieszkałe są przez ludność głównie pochodzenia europejskiego, nie są europejskie z ducha. Inne wróżki stały u ich kolebki, inne prawa rządziły ich rozwojem, inny klimat duchowy wychował amerykańską kulturę i mentalność.

Związek Republik Sowieckich, skupiający w swych granicach wiele narodów, to już nie państwo, a odrębny kontynent — to Eurazja. Obszar ten nie wiele ma z Europą wspólnego. Religia, rasa, kultura, mentalność — wszystko to różni Rosję od Europy. Różni ją też to, co jest największą jej siłą — olbrzymie przestrzenie i wypływająca z nich skala jej możliwości.

Wielka Brytania — europejska z ducha — materialnie oparta jednak o pozaeuropejskie imperium, z konieczności gros swych zainteresowań przerzucać zwykła poza Europę, pomimo że się z nią głęboko solidaryzuje, że do odpowiedzialności za nią się poczuwa — choć często, w swym wyciarskim sposobie myślenia, jej nie rozumie.

A więc rachunek za Europę robi się w pewnym sensie bez gospodarza. Obrady w Dumbarton Oaks robiły trochę wrażenie zebrania rodzinnego, na którym rozpatruje się interesy i rozdziela schedę po nieboszczyku, którego nieostygłe zwłoki leżą w sąsiednim pokoju.

Otóż tak nie jest. Europa nie jest jeszcze trupem. To, że przez pięć lat niewoli powstała była i obezwładniona, to jeszcze nie dowód, by po swym uwolnieniu nie była zdolna przemówić we własnym imieniu.

Cóż dziś bowiem potęgą poza-europejskim wiadomo o tym, co pod potwornym ciśnieniem cierpienia i walki podziemnej w starej Europie wypaliło się, wydestylowało, co się nowego wykuło i co pod ruinami kiełkuje. Wystarczy czytać choćby polską prasę podziemną, w szczególności pisma młodzieży, by zrozumieć, że tam ludzie nie tylko głodują, cierpią i walczą, ale że czują i myślą, że tworzą nowe pojęcia i nowe wartości — że tam się wykuwa nowe Jutro.

Na to więc, by Europę urządzić „na jutro”, trzeba, by wprzód w rytm ten się wsłuchać, wyczuć go i zrozumieć, i na nim oprzeć nowy system europejski. Inaczej wszelkie decyzje o przyszłych losach Europy pozostaną teorią, zawieszoną w próżni.

Zaproszenie Francji do pełnoprawnego udziału w obradach Europejskiej Komisji Doradczej powitanie będzie we wszystkich krajach Europy z zadowoleniem i ulgą. Francja, całkowicie już niemal od wroga oczyszczona, jest zdolna już zabrać głos, a przez nią przemówi Europa. Wielka Trójka, operująca kontynentami, astronomicznymi cyframi i nieogranicznymi przestrzeniami, nie powinna tego głosu lekceważyć.

Wytaczanie nowych granic, globalne planowanie, reformy na wielką skalę, dzielenie świata na gigantyczne obszary sfer wpływów — wszystko to jest „realne”. Ale niemniej realne jest wołanie jednego z czołowych pisarzy Francji, „clerca”, który nie zdradził — o odrodzenie człowieka, o nowy humanizm, o wolność jednostki, o idącą za tym wolność narodów. Mauriac pisze: „Widziało się ich w czasie tej wojny tysiącami — tych ludzi, pomordowanych i umęczonych — ludzi bez twarzy, o obliczach zmiażdżonych butem brutalnej bestii... Trzeba odrodzonemu człowiekowi przywrócić jego oblicze, a obliczu temu jego podobieństwo z Bogiem...”

Wołanie to rozumie i podziela znękana Europa. W tym postulatcie widzi ona podstawę i założenie lepszego Jutra.

Nowość! Nowość!

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze”

ukazała się

BOLESŁAWA PRUSA

LALKA

Tomy I i II

(tomy III i IV w druku)

Cena każdego tomu 150 milsów.

KSIEŻYC, CHYTRY GOLIBRODA

Księżyc, chytry golibroda,
już brody drzew palcami iska
i belta w srebrnej misce wodę,
aż pędzel srebrną pianą przyska.

Od mydlin światła — pstre turbany
(cmoka z uznaniem wiatr po drzewach)
i dach, na którym Fatma ziewa,
bryzgami srebra pochlapany.

Nakładem autorki ukazuje się w najbliższych dniach w Jerozolimie tom wierszy Marii Petry „Struny”. Wyjmujemy z niego dwa wiersze.

Fatma ociera twarz z poświaty;
zagłada w kraty: „W harem przyszli...”
Licząc wplecione w włos dukaty,
kończy leniwie na głos myśleć:

„Po co, o Allah, cenny pieniądź,
srebro rozrucasz gdzieś po drzewie...”
A Mahmud w Fatmę zapatrzonej
wzdycha na dole: „Nie wiem, nie wiem...”

POEZJA KARPACKA

Zbiór wierszy żołnierzy Brygady Strzelców Karpackich

Wiersze:

B. Andrzejewskiego, J. Bielatowicza, M. Hemara, A. Jamama, B. Kobrzyńskiego, J. Laszkowskiego, S. Młodoczeńca, J. Nałęcz, K. Nałęcz, T. Sowickiego. — Pieśń Brygady.

Cena: 200 milsów

Wydawnictwo „W DRODZE”, Jerozolima

JÓZEF STAWSKI I LUDWIK KLECZEWSKI

KONWENCJA GENEWSKA¹⁾

W osiemdziesiątą rocznicę powstania

Międzynarodowe Prawo Wojenne

Wojna to najstraszniejszy kataklizm ludzkości. Tragizm, towarzyszący współżyciu między narodami, polega na tym, że wojna jest nie tylko rozpętnaniem zaborczych i niszczyielskich instynktów, lecz zarazem i konieczną ochroną najwyższych wartości, jakie ludzkość posiada, najpełniejszym sprawdaniem sił narodu. Tragizm ten sprawi, że proces kształtowania się prawa międzynarodowego postępował dwutorowo: dążył on do usunięcia wojny i jednocześnie do jej humanizacji. Obydwa te prądy płynęły na przestrzeni dziejów prądem nierównym.

Od zarania wieków wybitniejsze umysły: poeci i filozofowie, mężowie stanu i uczeni w piśmie przemysłowcy nad znalezieniem sposobów pokonania wojny i zapanowania stałego pokoju. Przypomnijmy idee Platona i św. Tomasza z Akwinu, — samotnika z Królewca, Emanuela Kanta, przypomnijmy też pomysły związku państw, który miał przeprowadzać arbitraż międzynarodowy, wysunięty przez króla-tułacza, Stanisława Leszczyńskiego, tego polskiego Marka Aureliusza.

Obok tych prób maksymalistycznych, lecz dotąd nierealnych, pojawiły się plany skromniejsze, ale zato praktyczniejsze, plany łagodzenia okrucieństw wojny i ujęcia jej w karby przepisów prawnych, obowiązujących strony walczące.

Początkowo wojującym wolno było wszystko; wojny — były to beżadne barbarzyńskie masakry: łupiono i równano z ziemią miasta, a ludność wycinano bez pardonu w pień lub brano w jasyr.

Rozwijający się humanitaryzm i poczucie honoru rycerskiego stopniowo poczęły łagodzić nieokiełznaną dotąd dzikość. Nieocenioną rolę odegrały nakazy religii, przykazania biblijne i nauki ojców Kościoła.

Hugo Grotius, twórca nowoczesnego prawa narodów, w swym epokowym dziele „De iure belli ac pacis“ (1625) daje pierwszy systematyczny wykład prawa międzynarodowego. Domaga się on prawnych ograniczeń metod prowadzenia wojen, odwołując się do prawa natury. Jan Jakób Rousseau wprowadza podstawowe rozgraniczenie na kombatantów i nie-kombatantów, których należy chronić.

Kształtujące się prawo wojenne, — kompromis między wymaganiami walki a zasadami ludzkości i interesem stron walczących, — daje złagodzenie walki, która z dzikiej rzezi przemieniła się ma w zmaganie, regulowane powszechnie obowiązującymi normami. Wprowadzona do prawa międzynarodowego idea humanitaryzmu zakazuje zadawania zbędnych cierpień. Wytwarza się zasada, że wojna ma tylko pokonać armię, złamać zorganizowaną siłę przeciwnika, nie zaś zniszczyć i wytrzebić jego ludność. Stąd walka ustać winna, gdy ustanie opór, stąd ochrona rannych, chorych i jeńców, będących już „hors de combat“.

Tak więc, nakazy religii, zwyczaj, doktryna i normy pisane tworzyły prawo wojenne, które coraz bardziej ścieśniało swobodę walczących.

Konwencja genewska 1864 r. o polepszeniu losów rannych stanowią kamień węgielny tego prawa. Konwencja ta inauguruje właściwe międzynarodowe prawo wojny lądowej. Jest to pierwsza umowa międzynarodowa, łącząca w sobie cechy obowiązkowości, uniwersalizmu i stałości. Kreśli ona zasadniczą linię rozwoju rozbudowującego się w następstwie prawa wojennego. Ma ona już własną, bogatą historię. Tendencje okiełznania wojny kontynuują haskie konferencje pokojowe z lat 1899 i 1907; istotny jest zwłaszcza Regulamin drugiej z tych konferencji, poświęcony prawom i zwyczajom wojny lądowej.

Pokąd walki z bronią w ręku „nie przemina z wiatrem“, potąd reglamentacja prawna wojny, niechby słaba i niezupełna, będzie odgrywała zbawienną rolę. Właśnie myśl objawowego leczenia choroby, póki nie odkryte zostaną radykalne powersalne zapobiegawcze, wyraziła się w okresie powsersalnej najołobitniej w konferencji 1929 r., która przyniosła reformę konwencji o polepszeniu losu rannych i umowę o jeńcach — dwa najważniejsze akty współczesnego międzynarodowego prawa wojennego.

Ironia losu sprawiła, że obie umowy 1929 r., zawarte w siedzibie pocziwej ale romantycznej Ligi Narodów i trzeźwego Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża, doszły do skutku właśnie w momencie wejścia w życie paktu Kelloga o wyrzeczeniu się wojny jako narzędzia polityki państwowej. Gdyby nie one, miałyby słuszność całkowiły prof. Kunz²⁾, gdy na krótko przed Wrześniem wypowiedział melancholijną uwagę, iż na całym świecie wszystko przygotowane jest do wojny prócz samego prawa wojennego.

¹⁾ Rozdziały wstępne przygotowanej do druku książki p. t. „Konwencja Genewska“. Rozdziały pierwszy i czwarty podane są w streszczeniu.

²⁾ „Plus de lois de guerre?“. Revue Générale de Droit International Public, tom XLII, 1934.

Dzieje konwencji genewskiej

1) G e n e z a. Idea humanizacji wojny przejawia się najprzód i najkonkretniej w stosunku do rannych, początkowo płańdrowanych i beżlitośnie dobijanych.

Najświetniejsze zasługi przy niesieniu pomocy ofiarom walk zbrojnych oddały zakony rycerskie, pierwsze zorganizowane instytucje pomocy, nie odróżniające swoich od obcych, z Zakonem św. Jana Jerozolimskiego z XI w. (zwanym później również Zakonem Kawalerów Maltańskich) na czele. Jego szpital w Świętym Mieście, później „Infermia“ na Rodosie były sławne w całym ówczesnym cywilizowanym świecie³⁾.

„Hostes dum vulnerati fratres“ brzmiało stare hasło, ale panujący niewiele jeszcze dbali o ofiary walk, nawet o własnych żołnierzy: najemników lub rekrutujących się ze sfer plebsu. Przez całe średniowiecze ilość medyków, towarzyszących armii, była minimalna, a ich umiejętności fatalne. Dr Galé, chirurg królowej Elżbiety, pozostawił wymowny opis sanitariatu Henryka VIII, złożonego przeważnie z członków bandy „psich pijawek“. Jak to czcigodne towarzystwo leczyło, łatwo sobie wyobrazić; przeważnie wystarczały dwa „zabiegi“, od trzeciego uwalniała cierpiących zimna kosa śmierci.

Z czasem pomoc, niesiona dotąd prawie wyłącznie przez zakony, przekształca się w obowiązek państwa, tak samo jak i opieka społeczna. Pierwsi uznali to zapewne Szwedzi za Gustawa Adolfa, chociaż niektóre źródła przyznają ów prymat królowej hiszpańskiej, Izabeli Katolickiej. Od XVII w. armie, teraz już królewskie, stale zaczynają zabierać w pole coraz większą ilość lekarzy i duchownych.

Co więcej jednak, opiekę, udzielaną dotąd, jeśli w ogóle udzielaną, żołnierzom własnym, a wyjątkowo tylko, w wykonaniu nakazów religijno-moralnych, żołnierzom przeciwnika, rozciągano obecnie na nich jako zobowiązanie prawne.

Zaczął się to od umów o wymianie jeńców, a prowadziło w prostej drodze do potrzeby ich pielęgnowania. Od r. 1581 do 1864 naliczono aż 291 tego rodzaju traktatów, karteli, kapitulacji czy aktów rozejmowych, jak je rozmaicie nazywano. Po wcześniejszym statucie w Sempach, zawartym przez kantony szwajcarskie w r. 1393, najbardziej znany jest kartel austriacko-angielsko-francuski, podpisany we Frankfurcie w 1743 r. Nakazywał on leczenie i odesłanie rannych, którzy otrzymać nawet mieli podwójny żołd, oraz odstawienie personelu sanitarnego do własnej armii.

Ale wszystkie te umowy, zawierane przeważnie przez dowódców wojskowych, miały charakter przejściowy, okazyjny. Brak było stałej organizacji, wykwalifikowanych sił ludzkich, zasobów materiałowych. Nawet w wojnach rewolucji francuskiej uciekano się niejednokrotnie do okrucieństw, potępianych przez niektórych ludzi wielkiego serca. Armie Napoleona mają nie więcej niż po jednym chirurgu i jednym aptekarzu na pułk, toteż wielu rannych pozostaje na polu walki bez pomocy. Balzac uwiecznił tragedię płk. Chabert, pochowanego żywcem po bitwie pod Iławą.

W czasie amerykańskiej wojny secesyjnej działała „Sanitary Commission“, z piękną postacią Klary Barton, późniejszego pierwszego prezydenta Amerykańskiego Czerwonego Krzyża. W kampanii krymskiej laury sławy zdobyła Florence Nightingale, „dama z lampką“, która niezmordowanie przebiegała szpitale i ambulatory, niosąc ratunek cierpiącym, wraz z trzydziestoma innymi pielęgniarkami. „Anioł Krymu“, Nightingale, jest matką współczesnego pielęgniarstwa, współzałożycielką Brytyjskiego Czerwonego Krzyża. Cóż mogła jednak poradzić ta drobna garstka kobiet wobec ogromu nieszcześcia. 60% rannych angielskich zabrała śmierć. Więcej jeszcze ofiar niż kule pochłonyły choroby i zarazy, których nie miał kto zwalczać.

Tak stała sprawa w połowie XIX w. Armie się rozrosły, mechanizm ich niesłychanie się skomplikował, narzędzia uśmiercania stokrotnie się udoskonaliły, ale sanitariat pozostał bierny, pod znakiem szarpi, rwanych w pałacach i po dworach. Młyny historii wskazywały nie próżnowały.

2) H e n r y k D u n a n t. W czerwcu 1859 r. wojska francusko-sardyńskie rozgromiły pod Solferino armie austriacko-węgierskie. Była to wielka i krwawa bitwa, bitwa już nowożytna, w której brało udział około 300 tysięcy ludzi. Na polu wojennym pozostało 40 tysięcy rannych.

Przypadkowym świadkiem tej walki był finansista genewski, Henryk Dunant. Widok tysięcy nieszczęśliwych, bez żadnej niemal opieki, błagających bezskutecznie o parę kro-

pel wody, leżących w polu, na przemian w prażącym słońcu i pod ulewą, z obnażonymi, ropiejącymi ranami, wywołało w nim wstrząsające wrażenie. Z miejsca rzucił się Dunant w wir pracy. Laik, organizując pośpiesznie pomoc z okolicznych mieszkańców i kobiet wiejskich, improwizuje lazarety w kościołach i w merostwie Castiglione. Za wstawiennictwem marsz. Mac Mahona uzyskuje decyzję Napoleona III o zwolnieniu z niewoli austriackich lekarzy i chirurgów. Zarazem Dunant na wszystkie strony woła o ratunek, o ludzi i opatrunki.

Z przemożnego wrażenia, odniesionego zwłaszcza w zawałonej rannymi aż po kaplicę świątyni „Chiesa Maggiore“, ze słyszanego nieustannie „J'accuse“ potwornie cierpiących, dla których śmierć była nieraz wybawieniem, Dunant nie może się już otrzasać. W r. 1862 ogłasza on broszurę „Un souvenir de Solferino“, w której, w sposób realistyczny, przejmujący do głębi serca, opisuje dantejskie sceny, widziane na pobojuwisku. W broszurze tej rzucił Dunant dwie wielkie myśli: zorganizowania we wszystkich krajach w czasie pokoju komitetów pomocy dla ofiar walk zbrojnych oraz neutralizacji rannych i personelu sanitarnego.

„Un souvenir de Solferino“, biała księga ludzkiego cierpienia, podbiła od razu Genewę, a z nią całą Europę. Czas już dojrzał. Liberalizm, rodzące się ruchy socjalne, filantropowie i uczuciowa literatura XIX stulecia, z dziełami Dickensa, z „Chatą Wujka Toma“ Beecher-Stowe i wydanymi właśnie „Nędznikami“ Wiktora Hugo zrobiły swoje.

Reakcja owa przyszła zaś tym łatwiej, że w grę wchodził los już nie zaciężników, ludzi handlujących swym życiem, rzemieślników wojny, których mogło się „nie kalkulować“ leczyc, ale stawką były armie nowożytnie, wywołujące się z poboru, krew z krwi i kość z kości narodów.

Grunt przygotowany już był dla rzucenia posiewu, bo podobne do Dunanta myśli wypowiedzieli prawie równocześnie niezależnie od siebie: Wioch, dr Palasciano, i francuski aptekarz, Arrault. Nie umniejsza to jednak w niczym geniuszu naszego autora, pierwszego później laureata nagrody pokojowej Nobla. Zrealizował on to, co bez echa przeszło jeszcze za Napoleona I, przybliżone, choć nieśmiało wysiłki dra Wasserfuhr.

„S. O. S.“ Dunanta podjęła najpierw genewska „Société d'Utilité Publique“, która wykonała komisję pięciu, złożoną ze swego prezydenta, Gustawa Moyniera, naczelnego wodza szwajcarskiego, gen. Dufoura, znanego z humanitaryzmu, dra Appi, dra Maunoir'a i Dunanta. W kilka dni po ukonstytuowaniu się, 17 lutego 1863 r., komisja przyjęła samorządnie, z niemalą odwagą, nazwę Międzynarodowego Komitetu Pomocy Rannym Wojskowym, by potem przechrzcić się na Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża.

3) K o n w e n c j a 1864 r. W październiku 1863 r. Komitet zwołał do Genewy konferencję przygotowawczą, na którą przybyli reprezentanci 14 państw. Uchwalono rezolucję o potrzebie ustanowienia w każdym kraju ochotniczych komitetów pomocy rannym, któreby za zgodą i przy poparciu rządów przygotowywały się do swej roli już w czasie pokoju, oraz życzenie co do podstawowego projektu neutralizacji rannych i personelu sanitarnego i, wreszcie, co do jednego, powszechnego godła służby zdrowia.

Dunant, świetny i niestrudzony propagator, umiejętnie wykorzystując narastający antagonizm Napoleona III z dworem, doprowadził do zwołania w sierpniu 1864 r. za pośrednictwem Szwajcarskiej Rady Związkowej formalnej już konferencji dyplomatycznej 16 państw. Po burzliwych obradach, nad którymi panował takt i autorytet gen. Dufoura, 22 sierpnia uchwalono konwencję, złożoną z 10 artykułów.

Konwencja zawierała wszystkie podstawowe po dziś dzień zasady: 1) pomocy rannym bez względu na to, czy są to ranni własni, czy przeciwnika, 2) przyznanie statutu neutralności personelowi i materiałowi sanitarnemu oraz 3) godło wyróżniające służby zdrowia: czerwony krzyż w białym polu. To odwrócenie barw narodowych szwajcarskich, znak piękny i wymowny, wybrano spośród innych proponowanych, jak np. flagi białej, jaką się nieraz przedtem posługiwano, choć przy stosowaniu i innych kolorów, zachodziły często tragiczne nieporozumienia. Autorami umowy, pierwszej konwencji genewskiej, byli: projektodawca godła gen. Dufour, który reguły jej stosował zresztą samorządnie już w wojnie Sonderbundu, oraz świetny prawnik, dusza Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża, jego pierwszy i długoletni prezydent, Gustaw Moynier.

Teza o równości pomocy rannym, w ten sposób ujęta i nakazana, stanowiła prawdziwą rewolucję, choć dziś wydaje się nam rzecz naturalną. Z pewnością jest ona użyteczna dla obu stron walczących, ale narodziła się nie z jakiegokolwiek zimnego wyrachowania, lecz z najwznioślejszego poczucia moralnego. Zasadę konwencji, „principe secret“ Dunanta najlepiej oddać można słowami Pasteura, jego entuzjastycznego wyznawcy: „Nie pyta się nieszczęśliwego z jakiego pochodzi kraju lub jakiemu Bogu bije pokłony. Mówi się: cierpiś, więc należysz do mnie, pomogę ci“. „Siamo tutti fratelli“, — wszyscy jesteśmy braćmi — wołały za Dunatem Włoszki z Castiglione.

Przez wzniosłość swych idei, charakter obowiązkowy, ogólny i stały, w przeciwstawieniu do dawnych aktów dorywczych, przypadkowych, wiążących tylko niektóre państwa i wywodzących się z utylitaryzmu, konwencja genewska, „magna carta“ cierpiącego człowieka, stanowi prawdziwy przełom. Przełom w międzynarodowym prawie wojennym, w prowadzeniu walk zbrojnych, działalności i organizacji wojkowej służby zdrowia. Ratyfikowana najpierw przez Francję, wkrótce objęła konwencja wszystkie państwa cywilizowane. Ułatwiło to inne, wprowadzone przez nią novum wielkiej wagi, mianowicie fakt, iż była ona otwarta dla państw nawet nie zaproszonych na konferencję.

4) K o n w e n c j a 1906 r. Gdy życie wykazało techniczne braki umowy 1864 r., po szeregu poprzednich prób Szwajcarska Rada Związkowa zwołała do Genewy w czerwcu 1906 r. nową konferencję dyplomatyczną, obeszłą tym razem przez 35 rządów. Rezultatem jej była konwencja z 6 lipca, która, potwierdziwszy zasady już przyjęte, dała im ściślejszą i bardziej odpowiednią terminologię prawniczą, wprowadziła porządek logiczny do jej, teraz 35, artykułów, posegregowanych na rozdziały. Niektóre z tej poprzedniczki, jak i jej prototypu, dalej jeszcze idącego kartelu frankfurckiego, zbyt zużyte i harde, a przez to, przy całej swej wielkoduszności, aż naiwne (np. nakaz natychmiastowego odżywiania personelu sanitarnego do straży przednich), musiały ulec złagodzeniu czy skreśleniu. Uzupełniono luki, rozproszono sporo wątpliwości, wprowadzono szereg przepisów nowych. „Architektem“ konwencji był wielki mistrz prawa międzynarodowego, referent konwencji haskich i sprawozdawca generalny konferencji, prof. Ludwik Renault.

Trzecia umowa haska 1899 r. rozszerzyła konwencję genewską na wojnę morską, co następnie udoskonaliła umowa haska 1907 r. Zarazem Regulamin haski drugiej konferencji pokojowej, podobnie jak jego prototyp, uznał nasz traktat jako swą integralną część.

5) K o n w e n c j a 1929 r. Pierwsza wojna światowa narzuciła potrzebę ponownej rewizji umowy. Odpowiednie projekty: zmiany konwencji genewskiej oraz tekst traktatu o jeńcach sporządził Międzynarodowy Komitet, a przedyskutowały i uchwaliły X i XI międzynarodowe konferencje Czerwonego Krzyża w 1921 i 1923 r. W następstwie, po bardzo starannych i wszechstronnych przygotowaniach, Szwajcarska Rada Związkowa zwołała do Genewy nową konferencję dyplomatyczną, w lipcu 1929 r., na którą przybyli reprezentanci 47 państw.

Konferencja podzieliła się na dwie komisje generalne: pierwsza obradowała nad nową redakcją konwencji genewskiej, druga nad umową o jeńcach wojennych. Przyjęte przez nie teksty przeszły przez sito komitetu redakcyjnego i przedłożone zostały zgromadzeniu plenarnemu.

Owocem Konferencji są dwa doniosłe fakty prawodawcze: odmłodzona Konwencja genewska o 39 artykułach i umowa o jeńcach wojennych, ze względu na jej 97 artykułów, ochrzczone nazwą Kodeksu Jeńców. Oba akty stanowią jedną całość, choć były pewne trudności z rozdzieleniem ich zasięgu. Konwencja⁴⁾, zajmuje się przede wszystkim polem bitwy, Kodeks — urządzeniami wewnątrz kraju, o cechach bardziej stabilizowanych.

Konwencja zmieniła w tekście 1906 r., to, co trzeba było zmienić, dodała, co można było dodać. Wyrzeczono się tego, czego ocalić się nie dało, by tym silniej zawarować pozostałe przepisy. Jeszcze świeżo w pamięci miano okropności przebytej wojny, a nie jeden z delegatów sam był kombatantem. Z całym pietyzmem odnoszono się do umowy poprzedniej, traktując ją niemal jak świętość i zachowując nawet, gdzie się dało, poszczególne wyrażenia i zwroty. W nowej

⁴⁾ Pisząc dalej krótko „Konwencja“ i używając dużej litery, rozumiemy przez to umowę genewską 1929 r. To samo odnosi się do znakowanej również dużą literą Konferencji i Kodeksu jeńców.

szacie prawniczej Konwencja zachowała wszystkie zasady swej babki 1864 r. i nawet konstytuanci 1863 r.

W dzisiejszej swej redakcji Konwencja, jak każde dzieło ludzkie nie bez braków, należy do rzędu najlepszych paktów międzynarodowych. Jest ona niewątpliwie wynikiem kompromisu między wymaganiami ludzkości a postulatami walki, ale jest kompromisem mądrym, nie zaś biernym opuszczeniem rąk przed przeciwnościami. Odznacza się idealizmem, lecz idealizmem praktycznym, nie ma w niej taniej demagogii, nie ma przekuwania szczytnych haseł na deklamacyjny frazes. Zgodnie z nowoczesnymi teoriami kodyfikacyjnymi Konwencja ujęta jest w ramy ogólne, bez wchodzenia w kazuistykę, w świadomości, iż minimum reguł daje nieraz maksimum wyniku. Konferencja zdawała sobie w pełni sprawę, że lepiej jest czasem kontentować się małym, ale pewnym, niż sięgać po rzeczy wielkie, lecz z góry skazane na stracenie.

Chociaż nie bez powodu pojawiła się znana karykatura de Foraina z napisem: „Schowaj swój czerwony krzyż, bo cię zastrzelą“, umowa genewska należy niewątpliwie do najbardziej szanowanych traktatów prawa międzynarodowego,

Czerwony Krzyż

1) Powstanie. Jeszcze na tle rezolucyj 1863 r. w poszczególnych krajach zaczęły się samorzutnie organizować stowarzyszenia pomocy rannym żołnierzom. W chwili podpisania umowy 1864 r. istniało już 7 narodowych towarzystw.

Nie wspominała jednak o nich pierwsza konwencja genewska, gdyż było ich jeszcze mało — dopiero się wykluwały — zaś władze wojskowe patrzyły się na nie z niedowierzaniem i mocno z góry. Zato, mając w pamięci Castiglione, silny akcent położono na dobrowolną pomoc mieszkańców, ratowników ad hoc.

Stopniowo, komitety-podrzutki, korzystając faktycznie z przywilejów konwencyjnych, przyznanych im przez praktykę, zaczęły się rozwijać. Wraz z ich rozkwitem malało znaczenie owych ratowników przypadkowych, których w szczytkowej tylko postaci zachowano w obecnym art. 5 Konwencji.

W tej ewolucji komitetów, które przybrały nazwę towarzystw Czerwonego Krzyża, jak przyjął ją i komitet pięciu, pomocne były wywołane się właśnie dążenia do łączenia się, dotąd sztucznie hamowane, oraz poparcie panujących, duchowieństwa, opinii publicznej, zwłaszcza sfer lekarskich i dochodzących do głosu kobiet. Dr Appia, chirurg i pisarz, pierwszy lekarz cywilny, opatrujący rannych na pobojuwisku (1859), był też pierwszym chorążym Czerwonego Krzyża, bo poszedł w pole z jego opaską w wojnie o Szlezwik w r. 1864.

Po regulaminach haskich sytuację towarzystw, należycie uznanych i upoważnionych do niesienia pomocy w postaci oficjalnej służby sanitarnej, legalizuje traktat 1906 r., zapewniając pełne immunitety ochrony i prawo używania czerwonego krzyża¹⁾, godła, które nosili już na habitach rycerze zakonu Templariuszy, z początku XII w. Naprzód zdobyły sobie nasze towarzystwa uznanie i wdzięczność organów wojskowych, z którymi najściślej współpracują i które wyrazić można powiedzeniem: dobra armia wymaga dobrego Czerwonego Krzyża. Potem weszła instytucja, prywatna i niezależna, również do ekskluzywnego prawa międzynarodowego, zyskując w nim nawet poczesne miejsce.

2) Organizacja. Istotę Czerwonego Krzyża określić można krótko przez wskazanie, iż jest on organizacją społeczną, ochotniczą, mającą za zadanie niesienie bezinteresownej, braterskiej pomocy rannym i chorym, bez jakichkolwiek różnic, nawet przynależnym do strony wrogiej. Dobrowolnego, autonomicznego charakteru instytucji nie zmienia fakt jej bliskiego związku, w tej czy innej formie, z organami państwowymi. Do swej roli wojennej, odgrywanej przede wszystkim na polu walki, Czerwony Krzyż musiał się przystosowywać systematycznie, zwłaszcza, i w tym celu oraz, by nie marnować nagromadzonej energii, niósł pomoc cierpiącym również w okresie pokoju. Z biegiem lat miało się to stać nowym, samodzielnym polem jego działalności.

Jeśli idzie o strukturę Czerwonego Krzyża, tego współczesnego zakonu miłosierdzia, to wystarczy ograniczyć się do stwierdzenia, iż składa się on z narodowych towarzystw, istniejących w poszczególnych państwach po jednym w każdym z nich²⁾. Przed wybuchem drugiej wojny światowej zarejestrowane były 63 narodowe towarzystwa, z 30 milionami członków dorosłych, nie licząc kilkudziesięciu również milionów młodzieży.

Akcję towarzystw narodowych koordynuje i wspiera Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża, którego międzynarodowość polega tylko na działalności, bo w składzie jest on jednolity, wchodzi do niego bowiem wyłącznie sami Szwajcarzy. On też przyjmuje nowych członków do rodziny czerwono-krzyżskiej, bada czy statuty towarzystw krajowych, zatwierdzone już przez organy pań-

stwowe, zgodne są z celem i założeniami organizacji.

Komitet, wykonawca testamentu Dunanta, nie ma w ścisłym tego słowa znaczeniu władzy nad towarzystwami narodowymi, które są autonomiczne i suwerenne, a jest tylko autorytatywnym i nie przemijającym wyrazicielem ideologii i tradycji Czerwonego Krzyża: absolutnej bezstronności, niezależności politycznej, ekonomicznej i wyznaniowej, uniwersalności i demokracji wewnętrzno-organizacyjnej. W rzeczywistości uprawnienia Komitetu sięgają głęboko.

Komitet jest, w czasie wojny, neutralnym łącznikiem między stowarzyszeniami narodowymi w państwach walczących, nieraz ostatnim ogniwem cywilizacji. Baczy, by założenia i przepisy Konwencji były honorowane przez wszystkie walczące strony, wielkie czy małe. Zdobywszy zaś sobie, dzięki swej ponadpartyjności, najwyższy autorytet świecki, Międzynarodowy Komitet jest dziś obrońcą nie tylko już traktatu genewskiego — który nota bene w tekście o nim nie wspomina —³⁾, ale w ogóle zasad ludzkości i cywilizacji.

Nie jest on sądem, a tym mniej żandarrem, ale bada pogwałcenia Konwencji i przedsięwzięcia „wszelkie inicjatywy humanitarne, zgodne z jego tradycyjną rolą⁴⁾“. Przyjmuje skargi na naruszenia i obrazy umowy, przesyła je towarzystwom narodowym strony

¹⁾ Wymienia go natomiast kilkakrotnie Kodeks Jeńców.

²⁾ Statut Międzynarodowego Komitetu, art. 5.

Brytyjska i nie brytyjska polityka

Sir Edward Grigg. British Foreign Policy. Londyn, Hutchinson, 1944. Str. 192¹⁾.

Niewielka ta i łatwo napisana książeczka porusza taką ilość problemów, że snadnie stracić można tenor wywodów autora i związek z tematem głównym. Istotnym jednak momentem, uzasadniającym tytuł książki, jest sprawa stanowiska Wielkiej Brytanii w obecnym świecie, konsekwencje, stąd wynikające, i konieczności, których zachowanie zapewni Wielkiej Brytanii dotychczasowe stanowisko i bezpieczeństwo. Wielka Brytania jest wielkim mocarstwem, podobnie jak Stany Zjednoczone czy Rosja. Ale ani Stany, ani Rosja nie są zależne od morza w tym stopniu co Wielka Brytania. Wielka Brytania jest państwem oceanicznym. Drugim elementem różnicy jest, że żadne inne wielkie mocarstwo nie jest zależne w tym stopniu od Europy. Obowiązki wobec własnego Imperium członków Brytyjskiej Rzeczypospolitej narodów, oraz obowiązki wobec Europy, oto zakres problemów, którymi Wielka Brytania żyje.

W szczególności sprawa Europy jest zagadnieniem centralnym. Wskutek rozwoju techniki i komunikacji powietrznej nigdy Wielka Brytania nie będzie mogła powrócić do polityki pozostawienia Europy samej sobie, a interweniowaniu wtedy jedynie, gdy jakieś jej własne życiowe interesy zostaną zagrożone. Wielka Brytania stała się państwem europejskim. Musi wziąć czynny udział w polityce Europy. Zwalacza że — jak autor stwierdza — Europa jest w dalszym ciągu kluczem do panowania nad światem. Jeżeli wybuchnie następna wojna tych rozmiarów co dzisiejsza, to zwycięstwo zostanie osiągnięte w Europie. Dlatego też Wielka Brytania musi stać się jednym z filarów systemu Europy.

Stale zabezpieczenie pokoju widzi autor w porozumieniu trzech mocarstw: Wielkiej Brytanii, wraz z Imperium i Brytyjską Rzeczypospolitą Narodów, Rosji i Stanów Zjednoczonych, których interesy, polegające na utrzymaniu pokoju, są identyczne. W związku z tym autor porusza dwa zagadnienia, będące rozwinięciem sprawy stosunków brytyjsko-rosyjskich i brytyjsko-amerykańskich: 1) sprawę organizacji Europy i sprawę t. zw. *Atlantic Community*, społeczności atlantyckiej, pojęcia, ukutego przez Waltera Lippmanna w jego *U. S. Foreign Policy*. O ile to drugie zagadnienie jest stosunkowo proste, gdy idzie o teoretyczne wykazanie wspólności interesów Wielkiej Brytanii i Stanów, którą udowodnił dwukrotnie udział Stanów w wojnie europejskiej, to pierwsza sprawa jest trudniejsza. Autor, który odważnie podszedł do zagadnienia rosyjskiego, poświęca mu mnóstwo miejsca w stosunku do rozmiarów książki. Trudno wdawać się w ocenę całości problemu rosyjskiego w pracy Grigga. Pragnę jednak zwrócić uwagę na ujęcie, najbardziej nas interesujące z punktu widzenia polskiego. Mianowicie autor stawia warunki współpracy brytyjsko-rosyjskiej, warunki, które streścić można w projekcie statutu mniejszych państw Europy. Polegają one w istocie swej na odrzuceniu koncepcji sfer wpływów prof. Carra, która tyle zamętu narobiła w swoim czasie. Organizacja państw europejskich między Wielką Brytanią a Rosją musi opierać się z jednej strony na ścisłym aliansie Wielkiej Brytanii z państwami zachodniej Europy, a z drugiej — na porozumieniu państw centralnej, południowej i północnej Europy z Rosją. Państwa te jednak muszą mieć zasadniczą swobodę zrzeszania się, zwłaszcza państwa Europy centralnej i środkowej, powstałe na gruzach dawnych Austro-Węgier, które bez możliwości organizacji w federację i wspólnego organizo-

¹⁾ Polonica z książki Sir Edwarda Grigga o-mówiono osobno, na str. 9, w „Polonicach w książkach angielskich“ *Scrutator*.

oskarżonej i publikuje w swej „Revue“, występuje z apelami i wezwaniami do państw. Komitet przestrzega i karci rządy, gdy trzeba publicznie, a głos jego, choć brak mu sankcji i egzekutywy, nie pozostaje bez echa. Nieraz nawet działa skutecznie i szybciej, niż noty dyplomatyczne, nie wychodzące poza kancelarie. Przypomnijmy dla przykładu apel Komitetu z dnia 24 lipca 1943 r. o konieczności szanowania prawa wojennego i o „prawach naturalnych człowieka do traktowania zgodnie ze sprawiedliwością“, jego wysiłki nad popieszczeniem wojny lotniczej, zapobieganiem wojnie chemicznej i t. d. Osobną kartę stanowi działalność Centralnej Agencji Jeńców Wojennych.

Gdyby Międzynarodowy Komitet nazwać organem wykonawczym, to całemu ustawodawczym, w każdym razie dyskusyjnym parlamentem, byłoby Międzynarodowe Konferencje Czerwonego Krzyża, odbywające się ostatnio co 4 lata. Składają się one z przedstawicieli rządów, uczestników Konwencji, Międzynarodowego Komitetu, organizacji narodowych i Ligi Towarzystw Czerwonego Krzyża. Ta ostatnia powołana została 1919 r. dla pracy pokojowej w najszerszym zakresie, dla „zagodzenia cierpień ludzkości“, jak mówi jej statut. Liga interesuje się specjalnie sprawą kształcenia siostr, w czym pomaga jej fundacja „Florence Nightingale“, której imienia istnieje również medal dla siostr.

²⁾ „Revue Internationale de la Croix-Rouge“. Marzec, 1944. Str. 185.

Razem towarzystwa narodowe, Międzynarodowy Komitet i Liga tworzą instytucję Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

Konwencja Genewska i Czerwony Krzyż

Związek Konwencji z Czerwonym Krzyżem jest istotny i ścisły; opisał go niedawno autorytatywnie i wyczerpująco prezydent Międzynarodowego Komitetu, prof. Maks Huber.

Mimo iż współcześnie Czerwony Krzyż ma wielkie pole do pracy pokojowej, jego geneza i historyczna misja polegają na niesieniu pomocy rannym i chorym w czasie wojny. Stąd nierozwalny jego związek z umową genewską, zwaną też często i nie bez racji „Konwencją Czerwonego Krzyża“.

Konwencja i Czerwony Krzyż to dwie strony tego samego medalu. Pierwsza daje tło, daje ochronę prawną rannych i chorych, personelu i materiałowi sanitarnemu. Drugi, na tej kanwie właśnie, rozwija swą działalność, niosąc bezinteresowną, ochotniczą pomoc ofiarom wojny.

Rewolucję w prawie międzynarodowym, jaką powodowała umowa genewska, Czerwony Krzyż uzupełnił przewrotem w myśleniu i odczuwaniu międzynarodowym, wprowadzając moment braterstwa, miłosierdzia i samoposwięcenia. Jest on też, po reakcyjnym skądinąd kongresie wiedeńskim 1815 r., potępiającym handel niewolnikami, jakby pierwszą ligą narodów, prawdziwą entente cordiale do walki z nieszczęściem i bólem człowieka.

wania swego życia gospodarczego nie mają wiele możliwości na przyszłość. Polityka brytyjska w tym rejonie musi między innymi poprzeć niezależność państw i zagwarantować im możliwość zrzeszania się dla pokojowej współpracy.

Porozumienie wielkich mocarstw jest tylko ramą, w której muszą się znaleźć państwa o ograniczonych interesach, zależnie od rejonu, o jaki idzie. Nie do pomyślenia jest, zdaniem autora, jakkolwiek konstrukcja Europy bez współudziału Francji, która powinna szukać porozumienia z Wielką Brytanią. Dziś istotą polityki Wielkiej Brytanii musi być wzięcie na siebie części ciężaru, by ulżyć Francji, która, osamotniona, nie mogła podjąć zadaniom utrzymania pokoju w Europie. Dwa czynniki spowodowały osamotnienie Francji już w pierwszych latach po Konferencji Pokojowej. Przede wszystkim Wielka Brytania i Ameryka odmówiły Francji traktatów gwarantujących, przyrzeczonych w zamian za ustępstwa w stosunku do Niemiec na Konferencji Pokojowej. Ponadto takim aktem pozostawienia Francji swemu losowi, była angielska polityka rozbrojeniowa, która przestała w ten sposób być czynnikiem siły wojskowej na kontynencie.

Na tym tle formułuje Grigg odpowiedzialność Wielkiej Brytanii za wybuch wojny. Odwołanie się do Europy, wyrażające się w stosunku do Francji, i bezbronność, będąca rezultatem zamknięcia oczu na rzeczywistość, oto przyczyny.

Cały ten system porozumienia mocarstw i oparcia bezpieczeństwa i pokoju na sile jest skierowany przeciw Japonii i Niemcom. „Butter but no guns“, względnie „rice but no guns“, oto wytyczne polityki zwycięskich mocarstw w stosunku do tych dwu gwałcicieli pokoju. Kompletnie rozbrojenie agresorów, względna pomyślność ekonomiczna i nadzór nad Niemcami i Japonią, które wynikają z chaosu dzisiejszej wojny, oto program. Specjalną uwagę zwraca autor na kontrolę przemysłu niemieckiego.

Szczególnie interesujące wywody zawiera ostatnie rozdziały książki. Dotykają one tego samego problemu, który poruszył w rozmowie z carem Aleksandrem Castlereaghem, minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, odmawiając przyjęcia zobowiązań gwarantujących systemu europejskiego, stworzonego po klęsce Napoleona. Castlereagh uzasadniał odmowę szczególną formą rządów Anglii, nie pozwalającej na przyjmowanie zobowiązań, których dotrzymanie może nie być w zgodzie z zapatrzywaniem, które mogą zapanować później, gdy przyjdzie moment wykonania postanowień traktatów. Demokratyczna opinia publiczna może stanąć w poprzek planom, dzisiaj stworzonym. Dlatego też „splendid isolation“ było nie tylko podyktowane tym, że Anglia była bezpieczna za morzem, na którym panowała, ale i względami wewnętrzno-politycznymi. Tak, ale ta sytuacja dzisiaj uległa zmianie. Bezpieczeństwo Wielkiej Brytanii zależy od wartości przyjmowanych przez nią zobowiązań. Kontrahenci nie mogą pozostawać w niepewności, czy traktat, zawarty przez rząd większości parlamentarnej, nie zostanie pozbawiony wartości, gdy z biegiem czasu opozycja przyjdzie do władzy.

Jest to wariant wiecznych argumentów przywódców systemów autorytatywnych, twierdzących, że jeżeli idzie o demokrację, to nie ma z kim gadać, że tylko oni mogą reprezentować cały naród i są w stanie stać się państwem zobowiązywać. Niestety, praktyka wykazała, że dyktatorzy bardziej niż kto inny są skłonni do łamania wszelkich traktatów. Wiemy, że przywódcy demokracji są w stanie ocenić sytuację równie dobrze jak dyktatorzy, a może nawet lepiej, gdyż nie zaciemnia im rozsądku ambicja i „wishful thinking“, które-

go więcej w systemach autorytatywnych, niż gdzie indziej. Książkę owiewa atmosfera szczerego wysiłku dojsia do poznania wszystkich przyczyn i skutków rzeczywistości obecnej. Pełno w niej krytyki przeszłości i teraźniejszości, z jednym celem, by przyszłym pokoleniom zapewnić pokój.

P r z y p i s .

Słabość wojskowa Anglii została uzupełniona polskim pendant. Istnienie nowoczesnej armii polskiej, której potrzeba była zawsze przez cały naród silnie odczuwana, byłoby utrudniło sytuację Hitlera w r. 1939. Naród — inaczej niż na zachodzie Europy — wiedział, że wojna przysię musi i, co najważniejsze, nie bał się jej. Psychicznie byliśmy do wojny przygotowani. Żołnierze i dowódcy stanęli do tej próby wojennej nieuzbrojeni. Wskazuje się na różnicę w potencjale gospodarczym jako na zasadniczą przyczynę klęski.

W pracy jednego z czołowych pisarzy gospodarczych opozycji, który próbuje podać przyczyny naszego zacofania gospodarczego, znajdujemy ciekawy przyczynek do ustalenia odpowiedzialności za ten stan rzeczy. Mianowicie myślą przewodnią pracy jest, że grupa Lewiatana przedstawiała jedyny praktyczny program gospodarczy, który polegał nie na braniu pod uwagę interesów społecznych, czy państwowych polskich, ale grupy gospodarczej, którą Lewiatan reprezentował. W Polsce panował chaos programowy. Oddajmy głos autorowi:

„Nie było w Polsce Niepodległej sposobu na rozsortowanie programów gospodarczych, tendencyjnych i dla państwa szkodliwych, od programów gospodarczych, obiektywnych i dla państwa korzystnych. Biurokracja państwowa wykonywała program, a nie stwarzała go. Parlament dyskutował skutki programów, zajmował się dyskusją na tematy pryneypialne, ale programu gospodarczego nie stwarzał, bo go stworzyć nie mógł. Mało kto zdawał sobie sprawę z tego, że programy gospodarcze były w Polsce podrzucane“.

Jednocześnie stwierdza jednak autor, że byli w Polsce ludzie, którzy myśleli o programie gospodarczym, że byli uczeni, którzy, nie związani z żadnym interesem partykularnym, zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Bardzo ciekawe są przytaczane przez autora głosy, m. inn. opinia Wincentego Witosa o prowadzonej w Polsce polityce gospodarczej.

Pomijając zagadnienie odpowiedzialności Lewiatana za stan gospodarczy Polski, należy zapytać: a gdzie rząd? Gdzie kierownictwo państwa, które miało dzięki postanowieniom konstytucji kwietniowej taką ogromną władzę? Gdzie znana energia jego premiera? Czy rzeczywiście warto było marnować ją na bitwę „pod parkanami“ czy walki o kształt anten radiowych? Ostatecznie, jeżeliby członkowie rządu sami nie umieli ustalić programu, to mogli z masy programów „podrzucanych“ wybrać ten, który interesem społecznym narodu i państwa najbardziej odpowiadał. Ale nie stało się ani jedno, ani drugie. Jeżeli Lewiatan jest winny, to miał współwinnego w rządzie, który godził się na eksploatację narodu. Bardzo trafnie porównuje autor stosunki polskie w zakresie gospodarczym do stosunków kolonialnych. Ale w koloniach eksploatację ułatwia różnica poziomu intelektualnego między kacykami murzyńskimi a eksploatatorami, która jest tak duża, że naród nie ma innego wyjścia, jak dać się obebrać. Można z tego, zdaje się, słusznie wywnioskować, że murzyńskie stosunki w Polsce umożliwił poziom intelektualny kierownictwa politycznego w Polsce przedwrześniowej.

Nie podaje nazwiska autora tej bardzo ciekawej broszury, która mimo wyraźnej tendencji, tak przykrą prawdę odkrywa, by nie popsuć mu stosunków z jego obozem politycznym.

Konrad Prus

WŚRÓD KSIĄŻEK

SPRAWY WOJENNE

Norman Copeland. *Psychology and the Soldier*. Londyn, Georg Allen & Unwin, 1944. Str. 96.

Kiedy marszałek Lord Roberts, znany dowódca brytyjski, późniejszy autorytet w sprawach wychowania żołnierza, podjeżdżał do maszerującej kolumny, zzywał podoficera, idącego z tyłu, i pytał: „Która to kompania?” „Trzecia” — padała odpowiedź... „Jak nazwisko dowódcy?” — „Smith”. „Jak nazwisko strzelca, maszerującego w pierwszej czwórce na skrzydle?” — „MacDonald”. Później, dowiedziawszy się wszystkiego, podjeżdżał do czoła kompanii, witał dowódcę po nazwisku, pytał o zdrowie rodziny MacDonalda i pozdrowiał kompanię jak stary znajomy oddział. W rezultacie wojsko szło do bitwy, zagrzane świadomością tego, że znane jest swym dowódcą i że należy do oddziału sławnego i bitnego. MacDonald i Smith bili się jednak najlepiej. Bowiem podejście indywidualne, osobiste, do ludzi i do gromady daje najlepsze efekty.

Książka „Psychology and the Soldier” Normana Copelanda warta jest przeczytania przez każdego żołnierza, który pragnie swój oddział podciągnąć do poziomu zdrowej psychicznie i zdyscyplinowanej gromady. Warta jest przeczytania także przez każdego dowódcę, który nie zna drogi zdobycia sobie serc swych podwładnych. W sposób prosty autor wskazuje te drogi: postępowanie własne, utrzymanie pewnego poziomu, zainteresowanie sprawami osobistymi żołnierzy, karanie tylko w wypadkach skrajnych, umiejętność przemawiania — oto tematy kilku rozdziałów książki. Ponad wszystko jednak góruje potrzeba dyscypliny zdrowej i świadomości żołnierskiej, że dyscyplina ta jest potrzebna i konieczna. Uświadomienie każdego żołnierza o przebiegu walki, podawanie mu położenia własnego, nie ukrywania sytuacji trudnych — to element istotny przy utrzymaniu owej świadomej dyscypliny.

Po to, by móc dowodzić innymi ludźmi, trzeba posiadać swą osobowość — to co w języku angielskim nazywa się „personality” — co możnaby potrosze określić jako czynnik, dzięki któremu jednostka jest zdolna przekazywać innym ludziom swoje zdolności i swoją energię. Dzięki tym zdolnościom i tej energii osobnik taki jest w stanie wpłynąć poprzez swe czyny na innych ludzi. W praktyce wygląda to w ten sposób, że dowódca winien przede wszystkim dobrze znać swój zawód, po drugie — mieć jakąś konkretną specjalność; i wreszcie winien on mieć umysł tego rodzaju, by nie był jednostronny i by potrafił interesować się dziedzinami życia, pozostającymi poza zasięgiem jego bezpośredniej pracy. Dowódca także musi umieć mówić płynnie i przekonywująco. Nic tak ludzi nie bierze, jak dowód zainteresowania ze strony przełożonych, nie tak nie pobudza do pracy, jak słowo uznania. Wychowanie ludzi i wykorzystanie ich zdolności nie polega na nieproduktywnej krytyce, lecz na umiejętności doprowadzenia do szczytu zdolności i możliwości poszczególnego żołnierza. Nie ma ludzi zupełnie niezdolnych, — każdy może czegoś dokonać; sztuka dowodzenia polega na tym, by wynaleźć pracę, odpowiednią dla każdego, i by w pracy tej wytworzyć atmosferę zdrowego współzawodnictwa. W oddziałach pozostawiających ogromną rolę odgrywa tu także poczucie przynależności do jednej gromady — esprit du corps.

By mieć wpływ na swych podwładnych, trzeba umieć mówić — przy dzisiejszym systemie pracy oświatowej w wojsku, kiedy trzeba mówić dużo publicznie, warto zanotować sobie wskazówki, jakie autor daje każdemu mówcy, wskazówki bardzo życiowe i

bardzo słuszne: „Po to by ludzi pobudzić do czynu, trzeba im zaproponować coś, czego w gruncie rzeczy oni sami chcą. Po to by zdobyć zaufanie słuchaczy, prelegent winien stać wyprostowany i patrzeć słuchaczom prosto w oczy. Trzeba przy tym wiedzieć dokładnie, o czym się chce mówić — nieznajomość tematu wychodzi na jaw natychmiast, tak samo — trzeba znać cel przemówienia i wyraźnie dążyć do jego osiągnięcia, tylko wtedy t. zw. pogadanka oświatowa będzie miała ręce i nogi i nie będzie dla żołnierzy nudną piłą. Należy używać zdań krótkich i wreszcie trzeba wiedzieć, kiedy skończyć. Jedno zdanie za dużo i cały efekt pogadanki może być stracony”.

Dla zbudowania moralnej siły wojska, siły, o której Napoleon powiedział, że ma się w stosunku do fizycznej siły jednego do trzech, należy wychować dobrych dowódców — bez tego oddział jest mało, albo nie wart. Przykład dowódcy w walce jest równie rozgrzewający i równie pociągający, jak przykład jego w czasie życia garnizonowego.

Osobny rozdział książki traktuje o uczuciu strachu — każdy zna je w stopniu mniejszym lub większym. Uczucie to określa autor jako stopień opanowania nerwowego — jedni, t. zw. odważni, są opanowani bardziej, inni — mniej, wszyscy bez wyjątku uczucie to jednak znają. Tym niemniej można na nim grać do skonale. Gdy jeden z oficerów Napoleona wybrał pozycję dla swojej baterii na miejscu zupełnie, wydawało się, straconym i narażonym na zniszczenie przez nieprzyjaciela, cesarz powiedział mu, że napewno nie znajdą się amatorzy na tak niebezpieczną pozycję. W odpowiedzi oficer wywiesił tablicę z napisem: „bateria żołnierzy, nie znających strachu” — przez cały czas walki nie zabrakło mu ludzi, jakkolwiek byli to tylko ochotnicy. Pozycja została utrzymana.

Uczucia strachu nie trzeba jednak wykorzystywać bezmyślnym i ślepym karaniem. Operowanie karą jest sztuką niezmiernie trudną. Znowu autor cytuje Lorda Robertsa i Napoleona. Pierwszy, zwalczając pijaństwo, zamiast uciekać się do kar, wprowadził instytucję świetlic żołnierskich, w których żołd wydawany był na rzeczy dużo bardziej pożyteczne, aniżeli alkohol. Wprowadził też współzawodnictwo sportowe, zajmujące czas i absorbujące energię. Drugi z nich — Napoleon — potrafił zdobywać się na duże formalne niedociągnięcia dyscypliny, po to by żołnierza postawić na nogi, zamiast go niszczyć. Gdy kiedyś zdarzyło mu się, że, obchodząc posterunki, znalazł śpiącego wartownika, podniósł leżący na ziemi karabin i rozpoczął przechadzanie się wzdłuż posterunku. Żołnierz spał spokojnie dalej. W tym stanie zastał ich obu dowódca warty, przychodząc na zmianę wartownika. Cesarz oddał karabin obudzonemu żołnierzowi i odszedł bez słowa. Żołnierz ten potem był wzorem odwagi i zdyscyplinowania oraz pełen uwielbienia dla cesarza.

Z drugiej strony autor zaleca surowość w rzeczach drobnych, dowodząc, że dyscyplina na nich głównie się opiera: jeśli raz żołnierz straci swój poziom moralny, nie potrafi się zatrzymać na równi pochyłej, na którą wkracza. Dlatego drobne przekroczenia tępione zapobiegają przekroczeniom znacznym.

Książka jest bardzo warta przeczytania. W dzisiejszych czasach, podczas wojny świadomego żołnierza, świadomego nie tylko swych obowiązków, lecz także i swych praw, jest bardzo na czasie.

Major Meerloo. *Total War and the Human Mind*. Londyn, George Allen & Unwin, 1944. Str. 78.

Reakcje nerwów ludzkich na objawy nowoczesnej walki są zgoła inne, aniżeli były za dawnych, spokojnych wojen. Uczucie strachu i obawy przed śmiercią spotęgowane jest hasłem dział, pracą motorów, płomieniami, wyciem syren. Organizm ludzki, jakkolwiek odporniony psychicznie, reaguje fizycznie, wyraźnie i silnie. Żołnierz w okopach, opanowawszy lęk po kilku dniach zupełnie, przeżywa jednak nerwowo każdy wybuch bliskiej bomby i każde rozerwanie się szrapnela. W rezultacie jego organizm spala się szybciej, jego odporność maleje — pierwszy objawem jest utrata wagi, objawem, notowanym w czasie pierwszej wojny światowej na frontach europejskich.

Major Meerloo, holenderski lekarz, mający za sobą dwa lata doświadczeń pod okupacją niemiecką, zastanawia się w swej świeżo wydanej książce „Total War and the Human Mind”, nad ogromną rolę, jaką przed wybuchem konfliktu zbrojnego odegrała t. zw. wojna nerwów, oraz nad tym, w jakim stopniu masowa sugestia narodu niemieckiego, pozbawionego siły samodzielnego myślenia, przyczyniła się do utrzymywania się przy władzy hitlerizmu, ruchu niszczenia, opartego na nihilizmie, na pustce ideowej, podpartej jedynie potężnymi filarami hasel, wewnątrz pustych, sloganów, doprowadzanych do świa-

domości ludzkiej wszelkimi możliwymi kanałami. W konkluzji Meerloo oddaje tej broni psychologicznej dużą porcję zasługi w niemieckich zwycięstwach. Pięta kolumna, defetystyczne wiadomości, rozpuszczane pod największym sekretem, groźby użycia nieznanymi i bezwzględnie skutecznymi broni, paraliżowały opór. Hitler siedział naprzód nie dzięki swej własnej sile, lecz dzięki słabości swych przeciwników — walcząc w imię niszczenia, nie wnosząc żadnej nowej idei, operował strachem jako swą strażą przednią. Rezultaty osiągnięte przeszły oczekiwania największych niemieckich optymistów — Francja przegrała wojnę nerwami, nie orężem, linia Maginot'a pozostała nietknięta, gdy francuscy żołnierze ze śpiewem szli do domów.

Holenderski lekarz uzasadnia działanie strachu na państwa i narody poprzez dedukcję działania strachu na jednostkę. Uczucie to paraliżuje wolę, człowiek, zasłuchany w hałas motoru nadlatującego bombowca, zapomina chwilami o potrzebie szukania schronienia przed bombami. Człowiek, zahipnotyzowany własną bezbronnością i siłą przeciwnika, nie stawia oporu, pomimo że ma broń w kieszeni. Dopiero po fakcie przekonujemy się, że mogli walczyć i, kto wie, czy nie skutecznie.

Author dobrze opisuje zastosowanie metody psychologicznej wojny w samej Rzeszy Niemieckiej — powtarzania do złudzenia hasel, sloganów, tak jak słowa „Deutschland”, użytkowanie do swych celów całego nowoczesnego aparatu w postaci filmu, książki, radia i prasy. W rezultacie Niemiec, dyskutujący z cudzoziemcem, traci grunt pod nogami bardzo szybko i albo zakamuje się, — co zresztą następuje niezwykle rzadko, — albo też chowa się za parawan wyuczonego sloganu w przeświadczeniu wygodnym i od dziecka wpajającym, że są inni, którzy za niego lepiej i skuteczniej potrafią myśleć i trudne problemy rozwiązywać. Hitlerizm podniósł do wyżyn władzy jednostki zdegenerowane, zbrodnicze, nie mające nic do stracenia, i w ten sposób zyskał sobie ich bezwzględne oddanie. Kult sadyzmu wobec pokonanego wroga, pogarda bezbronności — to jeszcze jeden sposób moralnego obniżania poziomu. Łatwizmy myślowe w rodzaju winienia Żydów i masonów za wszelkie zło, jakie na świecie istnieje, jeszcze bardziej unieodporniło psychikę ludzką na jakiegokolwiek samodzielne myślenie.

Major Meerloo, po przeprowadzeniu tych rozważań powiada, że ludzie są niewątpliwie sami sobie winni — w jednostkach bowiem istnieje taki sam pęd do totalizmu, jak w narodach. Każdy człowiek przechodzi przez okres, nazwany przez autora stosunkiem autorytatywnym do życia: — okres ten charakteryzuje się przesadnym poczuciem własnej wartości i wartości, jaką świat cały do osoby owej jednostki powinien przywiązywać, poczem nieodwołalnie następuje poczucie osamotnienia, brak oparcia i — chęć poświęcenia własnej swobody w zamian za opiekę ścisłą i niemal ojcowską czegoś silniejszego. Stąd młodzież, przechodząca takie okresy, garnie się tłumnie do ruchów totalnych. Okres drugi, to okres przez autora nazwany demokratycznym: — jednostka dość silna na to, by umysłowo rozwijać się normalnie samemu, dochodzi do świadomości własnej wolności i na tej świadomości buduje wolnościowe ideały dla innych. Rozumiejąc siebie, człowiek taki tym samym potrafi zrozumieć innych — pragnie móc samodzielnie myśleć.

Lekarz holenderski ostrzega przed powojennymi metodami wojny psychologicznej, którą niewątpliwie Niemcy będą usiłowały zastosować, gdy tylko konflikt się skończy. A więc wysuwanie jako parawan Niemców dobrych demokratów, których potem można będzie łatwo oskarżyć o każde zło po klęsce; granie na litości dla pokonanych, obrazach głodnych dzieci, zburzonych miast i palonych wsi. Poprzez swą muzykę, sztukę, twórczość swych uczonych Niemcy będą działały na psychikę całego świata, starając się uspić naprężone i zmęczone wojną nerwy. Udało im się to już tyle razy, czemużby znowu nie spróbować? Trzeba się mieć na baczności, by nie doprowadzić do wojny następnej.

Author proponuje stworzenie po wojnie międzynarodowego systemu szkolnego, umiędzynarodowienie strategii wojennej przez stworzenie międzynarodowej instytucji wojсковей, kierującej policją świata, i wreszcie zbudowanie instytucji, której zadaniem byłoby czuwanie wszędzie nad zachowaniem elementarnych praw ludzkich jednostki. To powinno zapobiec wojnom. Gdy czytałem tę książkę, był właśnie w Londynie alarm. W restauracji, na wielkiej sali, kilkaset osób jadło obiad. W pewnej chwili sala zupełnie zamilkła, kilka postaci podeszło do okien: zbliżał się warkot latającej bomby. Doszedł do szczytu, bomba poszła dalej. Sala przestała słuchać — w jakimś nieświadomym paraliżu nerwów tłum na sali restauracyjnej, przestając jeść i rozmawiać, po to by słuchać, potwierdził mi nagle proste prawdy czytanych stronic o efekcie psychologicznej wojny.

Zygmunt Nagórski jr.

„REWOLUCJA NAUKOWA”

Julian Huxley. *On Living in a Revolution*. Londyn, Chatto & Windus, 1944. Str. 196.

Huxley ma na myśli dwie rewolucje.

Wojnę, której wpływ na przyszły ustrój świata i na warunki naszego życia jest bardziej rewolucyjny niż wojenny. Nie ulega bowiem wątpliwości, że wojna przez swe ślepe niszcycielstwo — które burzy nie tylko miasta, ale także organizacje społeczne, ukształtowania gospodarcze, podstawy ideologiczne, stała się sama w sobie, w swej bezmyślnej furii — rewolucją.

Drugą rewolucją, również doniosłą i na pewno znacznie bardziej przekonującą — choć nie dla wszystkich zrozumiałą, — jest „rewolucja” naukowa, którą Huxley rysuje nam śmiało, interesująco i inteligentnie w szeregu studiów. Ująłem tym razem słowo „rewolucja” w cudzysłów. Nie mówi bowiem Huxley tylko o przewrocie, jaki wynalazki naukowe mogą wywołać, t. j. o tej rewolucji, o jakiej się powszechnie myśli, gdy mówi się „rewolucja naukowa” (przez analogię do rewolucji przemysłowej), ale także — w dwu najciekawszych dla laika, żadnego wiedzy, studiach: *Darwinism To-day* i *Philosophy in a World at War* — o rewolucji biologicznej, tak powolnej, że niedostrzegalnej w skali życia ludzkiego. Tu jest na swoim podwórku i tu popularyzacja wiedzy podana jest z pierwszej ręki.

Z innych studiów należy wyróżnić *The War: Two Jobs not One*, w którym Huxley omawia planowanie w powojennym świecie. Planowanie, konieczne w warunkach współczesnych, ale tak trudne do przeprowadzenia w sposób prawdziwie demokratyczny; *Tennessee Revisited*; oraz *Dr. Spooner: The Growth of a Legend*, essay bardziej literacki, niż naukowy.

Książkę warto polecić polskim czytelnikom z dwu powodów: 1) jako przykład, że naukowa popularyzacja nie musi być ani nieczytelnym nudziarstwem, ani prostacką symplifikacją, ale może być inteligentna i poważna, równocześnie napisana interesująco i z polem, 2) jako antidotum na naszą obsesję humanistyczną. Postawa przyrodnicza była, w przeciwieństwie do postawy humanistycznej, wyraźnie w Polsce zaniedbywana. Wydaje się nam wciąż jeszcze, że sprawy przyrodnicze nie są sprawami filozoficznymi i że są w jakiejś niższej kategorii wartości. „Zawsze mówili, że technika ogranicza horyzont myślowy”, powiedział mi niedawno pewien bardzo inteligentny Polak. Tylko raz w naszej historii wydawało się, że przełamiemy tę preponderację humanizmu, ale pozytywizm wówczas w Polsce nie „chwycił”. Warto by popробować raz jeszcze.

Bruce Bliven. *Men who Make the Future*. Londyn, The Pilot Press, 1943. Str. 194.

Bruce Bliven jest wybitnym dziennikarzem amerykańskim, redaktorem *The New Republic* i amerykańskim korespondentem *Manchester Guardian*. Jest dziennikarzem politycznym, i stanowisko, jakie zajmuje w prasie amerykańskiej, można porównać ze stanowiskiem Kingsleya Martina, redaktora *New Statesman and Nation*, lub Bernarda Singera, jeśli sięgnąć do arsenału polskiego dziennikarstwa.

Ten polityczny dziennikarz zaskoczył swych czytelników książką popularyzacji naukowej. Przez przeszło rok interview'ował amerykańskich uczonych na temat przyszłości, jaką nam wiedza sżykuje. Ta kombinacja — wycieczki polityczne i zainteresowanie naukowe — dały pasjonującą książkę.

Uzeni są przeważnie wstrzemięźliwi w propagowaniu wyników swej pracy. Bliven — rasowy dziennikarz — nie ma tych hamulców. Jego reportaże są naukowe i up-to-date; umie on wyłuskać z każdego odkrycia czy problemu naukowego najbardziej ciekawe momenty. Jego wizja świata przyszłości ma w sobie ton praktycznego realizmu, każącego mu zwrócić uwagę na lucite — nowy materiał plastyczny, który załamuje światło i umożliwia w ten sposób bezpośrednie oświetlenie „zza rogu”, — a pozwala mu zapomnieć np. o podróży na księżyc, która jeszcze dziesięć, dwadzieścia lat temu była szlagierem wszystkich wizjonerów przyszłości.

W innych reportażach opowiada nam Bliven o testach inteligencji; o hormonach, enzymach i witaminach; o genach, o cudownej i pełnej emocji teorii atomu; o najnowszych teoriach astronomicznych, tak spowinowacanych z teorią atomową (wiadomo: les extremes se touchent!).

H. S. Dominik

NOWOŚĆ!

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze”
ukazał się tom wierszy

Kazimierza Wierzyńskiego
RÓŻA WIATRÓW

Wydanie drugie
Cena 200 milsów.

Nakładem Wydawnictwa „W D R O D Z E”

ukazał się tom pierwszy

POWIEŚCI HISTORYCZNEJ

TEODORA PARNICKIEGO

SREBRNE ORŁY

Stron 356

Cena 300 milsów

TOM DRUGI W DRUKU

POLONICA W KSIĄŻKACH ANGIELSKICH

Napoleon a odbudowa Polski

Courts and Cabinets by G.P. G o o c h , D.Litt., F.B.A., Author of „History of Modern Europe, 1878-1919“, „Studies in Diplomacy and Statecraft“, etc. Londyn, Longmans, Green, 1944. Str. 323 i 1nl.

Znany historyk angielski, autor licznych studiów z zakresu dyplomacji, G. P. Gooch, w tomie essayów „Courts and Cabinets“ poświęca dwa rozdziały omówieniu pamiętników Caulaincourt'a, których ogłoszenie w r. 1933 uznaje za ostatnie wybitne zdarzenie w dziedzinie badań nad epoką napoleońską. W rozdziale „Caulaincourt, Napoleon and Alexander“ Gooch przytacza fragmenty rozmowy Napoleona z Caulaincourt'em na wiosnę r. 1811, po jego powrocie z Petersburga, po czteroletnim ambasadorowaniu przy dworze tamtejszym. Caulaincourt nakłania cesarza do usunięcia wojsk z Prus i z Gdanska, gdyż Rosja czuje się nimi zagrożona, dodając, że,

oczywiście, jeśli cesarz zamierza odbudować Polskę, — co pozostawałoby w sprzeczności z sojuszem z Rosją, — uwagi jego są zbyteczne. Napoleon odpowiada, że nie zamierza odbudować Polski, i w kilka chwil potem zapewnienie to jeszcze raz powtarza. Jeśli tak, — odpowiada Caulaincourt, — niezrozumiałe jest, dlaczego cesarz chce narazić sojusz z Rosją i dlaczego wojska francuskie mają pozostać w Prusach i w Gdańsku. Po przebranej kampanii rosyjskiej, w czasie powrotu przez Księstwo Warszawskie Napoleon wyraża przekonanie, że nie wszystko stracone: jeśli Polacy chcą na nowo być narodem, zdołają się na powstanie „en masse“, a on ich uzbroi i jeżeli nie zechcą, można będzie przestać się z nimi liczyć, a porozumienie z Rosją nie będzie przedstawiało trudności. Raz jeszcze temat Polski wraca w rozmowie z Caulaincourt'em: Napoleon jest zdania, że z Polakami postępowano w sposób niewłaściwy.

Polityka zagraniczna Wielkiej Brytanii a Polska

British Foreign Policy. By Sir Edward Grigg, K.C.M.G., K.C.V.O., D.S.O., M.C., M.P. Londyn, Hutchinson, 1944. Str. 192.

„Honor jest żywotnym czynnikiem w polityce zagranicznej“ — pisze znany polityk angielski, brat obecnego ministra wojny, Sir Edward Grigg, w książce „British Foreign Policy“. „Mówimy o „honorowaniu naszych zobowiązań“. Nie ma żadnej kwestii, że parlament i naród zawsze tego pragną“. Ale mimo najlepszej woli nie zawsze się to udaje. Zdąży się bowiem, że zaciąga się zobowiązania, przekraczające środki, które mamy do rozporządzenia. W „pośpieszny sposób (luridly)“ ujawniło się to na przykładzie gwarancji, udzielonych na wiosnę 1939 r. Polsce i Rumunii. Stąd wniosek, że należy zaciągać tylko takie zobowiązania, które można wykonać, i że należy powstrzymać się od „moralnego potępienia“, o ile nie jesteśmy przygotowani do podjęcia akcji, gdy to moralne potępienie nie odniesie skutku. Tak więc np. nie należało potępiać Rosji za wojnę przeciw Finlandii w zimie 1939-1940: „Wprowadziliśmy w błąd dzielny (brave) naród fiński, który odpowiedział na nasze słowa otuchy i od którego nie należy oczekiwać uznania dla zmiany tonu, jaka potem nastąpiła“.

Grigg cytuje sceptyczne słowa Churchilla z dnia 19 maja 1939 r. na temat gwarancji, udzielonej Polsce, bez zapewnienia sobie możliwości wprowadzenia jej w życie, co więcej dodaje że bez wojskowego poparcia Rosji była ona całkowicie bez wartości. Z chwilą podpisania rosyjsko-niemieckiego paktu o nieagresji z sierpnia 1939 r. gwarancja straciła nawet swą wartość „odstraszącą“.

Grigg usiłuje usprawiedliwić ówczesną politykę Stalina jego brakiem zaufania do mocarstw zachodnich i obawą, że Monachium może się powtórzyć. Ale nawet, pomijając tę obawę, sojusz wojskowy z mocarstwami zachodnimi na jesieni r. 1939 był z wielu względów niebezpieczny dla Rosji: nie wiadomo np. — pisze Grigg — jak zachowałyby się Polska, gdyby Niemcy oświadczyły, że ich głównym celem jest zniszczenie Sowietów. Stalinowi chodziło przede wszystkim o bezpieczeństwo Rosji, a przez porozumienie z Hitlerem zyskiwał na czasie. Zajęcie wschodniej Polski było zabezpieczeniem strategicznym, nie odbyło się kosztem Polski, która — powalona przez Niemcy — przestała istnieć jako państwo niepodległe. Zapobieżenie wchłonięciu całej Polski przez Niemcy oddaliło armię niemiecką od Moskwy o dwieście mil; ten zysk dwustu mil, być może, ocalił później stolicę Rosji.

Możemy wprowadzić odpowiedzieć Griggo, że jeśli udział w rozbiórce Polski oddalił armię niemiecką o dwieście mil od Moskwy, brak zgody na rozbiór Polski mógł utrzymać armię niemiecką o dalsze czterysta mil od Moskwy, ale nie będziemy tu wdawali się w polemikę. Trudno natomiast nie zakwestionować porównania zajęcia wschodniej Polski przez Rosję z zajęciem francuskiej Afryki Północnej przez Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone: ani Wielka Brytania ani Stany Zjednoczone nie oświadczyły przecież, że zamierzają francuską Afrykę Północną utrzymać w swym władaniu.

Nutą przewodnią książki Grigga jest ko-

nieczność utrzymania pełnego porozumienia z Rosją po zakończeniu wojny. Grigg ustawicznie przekonywa czytelników i siebie, że Rosja nie ma żadnej istotnej przyczyny, by okazać brak umiaru. Tak np. Rosjanie będą mieli ręce pełne roboty w domu, poza tym zabawieni są zaborczości; nadto cechuje ich iście angielskie poczucie humoru i ludzkość. Dodać: w żadnym innym kraju „Klub Pickwicka“ nie zdobył takiego jak w Rosji uznania i powodzenia.

Polska — mówi Grigg — musi jasno rozstrzygnąć, czy przyszłość jej polega na przyjaźni z Rosją, czy z Niemcami. W przeszłości miała ona „dostateczne powody (good reason)“ do odwręcania ostatecznej decyzji. Całkowicie wiarogodna osoba poinformowała Grigga, że Polska w r. 1933 proponowała wspólną akcję celem zapobieżenia remilitaryzacji Nadrenii; gdy nie spotkała się to z poparciem Wielkiej Brytanii i Francji, Piłsudski w następnym roku zawarł pakt o nieagresji z Niemcami (Grigg pomija milczeniem fakt, że jednocześnie zawarł pakt o nieagresji z Rosją). Wybór ten był nieszczęśliwy, ponieważ Niemcy przytłoczyli wojnę, a Rosja chciała pokoju. Jeszcze bardziej nierozsądne było skorzystanie z okupacji Czechosłowacji przez Niemcy w r. 1939 w celu zagarnięcia terytorium dla siebie. (Rzecz prosta, chodzi nie o r. 1939, ale o jesień r. 1938).

Położenie Polski pomiędzy dwiema potęgami wojskowymi, jak Niemcy i Rosja, jest zawsze niepewne: żądanie Rosji, by Polska opowiedziała się za sojuszem z nią, nie da się zakwestionować. Co więcej, Rosja jest uprawniona do stworzenia pewnej sfery wpływów na swojej zachodniej granicy, choć nie może to zagrażać niepodległości mniejszych państw. Utrzymanie przez nie niepodległości jest tym bardziej konieczne, że cywilizacja rosyjska różni się od cywilizacji państw Europy środkowej i zachodniej (nawiasem mówiąc, związek Polski ze światem cywilizacji zachodniej podnosi Grigg wielokrotnie), „narody, które mają szczytną przeszłość, narody, które wiedzą, co znaczy niepodległość, muszą mieć możliwość oddychania własnym powietrzem i kształtowania własnego sposobu życia“ szczególnie tam, gdzie — jak na zachodniej granicy Rosji — „różnice klasowe, religijne, historyczne i kulturalne nadają poczucie narodowemu piętno szczególnie imperatywne i intensywne“.

Przy tej zasadzie Wielka Brytania musi obstawać za wszelką cenę, inaczej sprzeniewierzyłaby się swej historii i straciłaby oblicze jako jedyny ośrodek, dokoła którego może odrodzić się Europa zachodnia. Wielka Brytania musi być silna wojskowo i trzymać w szachu Niemcy: w przeciwnym wypadku Rosja będzie zmuszona do zabezpieczenia swoich zachodnich granic poprzez dominację wojskową nad swymi sąsiadami zachodnimi: z kolei doprowadzi to tych sąsiadów do rzucenia się w ramiona Niemiec, z którymi — jeśli chodzi o kulturę i sposób myślenia — mniej dzieli je niż z Rosją.

Grigg przewiduje, że Polska uzyska w rezultacie wojny część Prus Wschodnich i resztę Śląska.

W dodatku do książki znajdujemy fragment z przemówienia premiera Mikołajczyka, wygłoszonego dnia 3 maja b.r. w Central Hall, Westminster.

wiły mniejsze niebezpieczeństwo dla pokoju, jeśli ich sąsiedzi będą mniej jaskrawo silniejsi od nich“. Ten sam publicysta głosi, iż wyzyskiwanie cytata z „Mein Kampf“u przeciwko Hitlerowi, kiedy znajduje się on u władzy, jest rzeczą... nielojalną“. Priestley w r. 1931 pisał: „Ci wszyscy, którzy głoszą, że wojna jest nieunikniona,... są albo niebezpiecznymi szaleńcami, albo zbrodniarzami. Powinni być zamknięci o chlebie i wodzie“. Jeszcze na kilka tygodni przed napaścią Niemiec na Polskę jeden z ministrów brytyjskich wyraził się, że woli „dawać Niemcom pieniądze za cenę utrzymania pokoju, niż Polakom za cenę przygotowywania wojny (paying the Germans to make peace instead of paying the Poles to make war)“.

Jaka było odpowiedź Brytanii i Francji na najazd Niemców na Polskę? — zapytuje Soloveytschik. „Wyczerpawszy wszystkie środki w celu uniknięcia wojny niemal za wszelką cenę, poddawszy jeden za drugim żywotne bastiony Europy, odmówiwszy walki „za Czechosłowację“, zdecydowały się wypełnić swoje zobowiązania wobec Polski i dn. 3 września 1939 r. formalnie wypowiedziały Niemcom wojnę według wszelkich reguł dziewiętnastowiecznej procedury. Poczem każde z państw zajęło się swymi własnymi interesami, ostrożnie unikając zaatakowania Niemiec od zachodu — jedyna skuteczna pomoc, jaką mogli Polsce okazać. Dzięki temu Hitler mógł bez przeszkód skoncentrować na wschodzie właściwie wszystkie swoje siły wojskowe, zniszczyć Polskę i podzielić się nią „ze swoimi chwilowymi przyjaciółmi, rosyjskimi bolszewikami, których jeszcze niedawno określał jako

wyrzutków ludzkości“. Francuzi przynajmniej powołali pod broń kilka milionów ludzi i przeprowadzili mobilizację gospodarczą, Anglia nie zdobyła się nawet na to.

Kreśląc plan rozbioru Niemiec, jako jedyną istotną gwarancję pokoju, autor dowodzi, że gdyby w r. 1919 Prusy Wschodnie przyłączono do Polski albo do państw bałtyckich, czy nawet do Rosji, sytuacja gospodarcza Niemiec nie pogorszyłaby się ani trochę. Względem strategiczne nakazują w sposób nieodparty dokonanie tej amputacji. Względem sentymentalne nie mogą, rzecz prosta, zaważyć: Hitler nauczył świat, jak przesiedlać ludność z jednego kraju do drugiego — dla ludności Prus Wschodnich znajduje się miejsce w samych Niemczech. Autor przypomina, że wielki Humboldt, jeden z delegatów pruskich na kongres wiedeński, oświadczył, że oddanie Rosji Mazowsza „stanowi bezpośrednie zaproszenie Rosji do wzięcia uścisk Wisły i Niemna i że... Prusy (Wschodnie) znajdują się niemal w lepszym położeniu, o ile Rosja zaanektuje je także“.

Soloveytschik ostro potępia politykę Becka, dla którego znajduje to samo określenie, co dla Papena: „żłowrogi“. Zamiast podtrzymać Czechów, Beck skorzystał z ich załamania się w celu zagrabienia Cieszyńska, — którego Polska bez powodzenia domagała się od wielu lat“. Zapomniano, że popieranie polityki Hitlera wobec Czechosłowacji doprowadzi do okrażenia Polski przez Niemcy od południa. Również polityka Polski wobec mniejszości narodowych — ukraińskiej i żydowskiej — pozostawiła ślady, które nie łatwo dadzą się zatrzeć.

Amerykanin u lotników

A. J. Liebling. The Road Back to Paris. Londyn, Michael Joseph, 1944. Str. 260.

„The Road Back to Paris“ A. J. Lieblinga, korespondenta wojennego znanego magazynu nowojorskiego p. n. „New Yorker“, zawiera dwa rozdziały poświęcone Polakom: pierwszy („It Showed Nice Instincts“) mówi o polskich lotnikach, drugi („The Long Name for the Lifeboat“) ma charakter anegdotyczny.

Polacy są nie tylko dobrymi pilotami, — pisze Liebling, — ale potrafili również swoją umiejętność w jaskrawy sposób okazać. Jeden z oficerów angielskich tak to określił: „Polacy knockoutują Niemców w powietrzu tuzinami, a kiedy wracają z boju, lądują jak rój ós, pod wiatr, z wiatrem, w poprzek wiatru, wszędzie. Wyskakują z kabin i cążą jeden drugiego i liczą na palcach, wielu Niemców zestrzelili“.

W lecie r. 1941 autor udaje się na miejsce postoju trzech polskich dywizjonów. Opisuje rozmowę z mechanikiem, który płacze słowa francuskie i angielskie: „Znajdujemy się w ustawicznym ruchu z kraju do kraju, — usprawiedliwia się, — zapomniatem mówić po polsku, zapomniatem po francusku, po angielsku jeszcze się nie nauczyłem, czasami więc wszystko mi się miesza“. Liebling podkreśla namiętną gestykulację, towarzyszącą opowiadaniom lotników. „Obserwując ich, można było śledzić równocześnie trzy czy cztery pojedynki powietrzne. Od czasu do czasu jeden z lotników wydawał terkoczący dźwięk, który naśladował karabin maszynowy, i śmiał się przy tym, jakby powiedział dobry kawał. Ich battledressy odznaczały się specyficznym słowiańskim wyglądem, składały się z rozdzaju rosyjskiej bluzy, mocno ściśniętej w pasie, i z luźnych, szarych spodni wełnianych, wpuszczonej w czarne buty“.

Wszyscy lotnicy mieli po dwadzieścia kilka lat z wyjątkiem pewnego wysokiego oficera o krogulczym nosie, właściciela wielkich dóbr w polskich w Polsce, który mimo swych 38 lat brał jeszcze udział w lotach.

Liebling przygląda się startowi do lotu na Francję, towarzyszy mu Irlandczyk, który przedstawia się, jak następuje: „Jestem podpułkownikiem lotnictwa i mam nieszczerście dowodzić tą kolekcją dziwaków i wariatów“. Przedmiotem troski kapitana jest zwyczaj Polaków opuszczania formacji i staczania walk indywidualnych. W czasie bitwy o Wielką Brytanię — dodaje — Polacy, stacjonujący na tym lotnisku, stracili 130 samolotów niemieckich. Na początku były pewne nieporo-

zumienia językowe. Jedno z nich mogło się skończyć tragicznie. Na lotnisku znajdowały się dwa dywizjony: po jednej stronie byli Nowozelandczycy i Kanadyjczycy, po drugiej Polacy. Dowódca Kanadyjczyków otrzymał rozkaz: „Zaczynaj i startuj pierwszy (first)“, dowódca Polaków: „Zaczynaj i startuj ostatni (last)“. Polak zrozumiał tylko słowo „Zaczynaj“ i obie grupy samolotów wystartowały w tym samym czasie. „Nie mogłem znieść tego widoku. Czy pan da wiarę, że wszystkie samoloty oderwały się od ziemi jednocześnie, wszystkie 36, bez jednego zderzenia? Wyglądało to tak, jakby ktoś palce jednej ręki włożył między palce drugiej. Polacy pewnie myśleli, że to był szczególnie efektowny manewr“.

Powrót z lotu na Francję odbywa się szczególnie, ale nie upolowano żadnego Niemca. „Czy to nie śmieszne? — odzywa się oficer o krogulczym nosie. — W ciągu dwóch kampanii w dwóch krajach mieliśmy trochę starych samolotów. Zjawiało się wówczas tysiące Niemców, aby spędzić nas z nieba. Teraz mamy tyle pięknych samolotów i nie możemy znaleźć Niemca, gotowego do walki z nami“.

Polacy w lotnictwie spełniają jeszcze jedną rolę. „W czasie pijatyk — zauważa pewien Anglik — dobrze jest mieć z sobą Polaka. Jeśli zachodzi jakieś nieporozumienie z policjantem, wszyscy udajemy Polaków. Polak, spełniający rolę straża tylnego, odzywa się: „Zauważ, ale moi przyjaciele dobrze nie rozumieją po angielsku. Może pan także mówi po polsku, nie?“ Głina macha ręką bezradnie i mówi: „A idź sobie!“.

Przechodząc do londyńskiej wieży Babel, Liebling twierdzi, że faworytami jego były dwa przeciwnieństwa: Norwegowie i Polacy. „Norwegowie słuchają i nigdy nie mówią. Polacy mówią i nigdy nie słuchają“. Zdaje się, że autor, idąc śladem Norwegów, słuchał, ale to, co wysłuchał, nie bardzo zrozumiał. Sarkastyczny aforyzm polskiego dyplomaty, że „Polska przed wojną była demokracją, ale bez przedstawicielstwa parlamentarnego“, żartobliwe odezwanie się pewnego Polaka, że całe życie był wierny jednej kobiecie: „każdej wiotkiej blondynce z chorobliwym wyrazem twarzy“, czy też anegdotę o lotniku Radomskim, który — atakowany przez trzy Messerschmitty — chciał zamknąć gaz, szukał rączki od gazu i nie mógł jej znaleźć, w końcu okazało się, że rączka jest, tylko pilot rękę ma odstrzeloną — bierze Liebling za punkt wyjścia do swoich wniosków o ujemnych cechach charakteru polskiego.

Scrutator.

Anglia i Francja wobec kampanii wrześniowej

George Soloveytschik. Peace or Chaos? Londyn, Macdonald, 1944. Str. 251 i 1nl.

Książka Soloveytschika stanowi cenne uzupełnienie „World in Trance“ Leopolda Schwarzschilda. Nie dorównywa tamtej rozległością perspektywy, głębokością analizy, świetnością stylu — ale obu autorów łączy wiele zdrowych rzeczy: realizm, niechęć do pacyfistycznego frazesu t. zw. lewicy intelektual-

nej, należyta ocena Niemiec, miłość do Francji, wstrzemięźliwy stosunek do Rosji i krytycyzm wobec brytyjskiej polityki zagranicznej w okresie, dzielącym obie wojny.

Autor cytuje objawy ślepoty politycznej społeczeństwa angielskiego. „Nasi radkali utrzymywali wbrew rzeczywistości, że Francuzi są reakcyjnymi militarystami, a Niemcy demokracją“. Vernon Bartlett jeszcze w r. 1933 uważał, że Niemcy będą stano-

Nowość!

Nowość!

MICHAŁ BOBRZYŃSKI

DZIEJE POLSKI

Tom II.

Stron 330

Cena 350 milsów

Wydawnictwo „W D R O D Z E“, Jerozolima

Z TEATRU

P A S Z K W I L F R E D R Y

„Pan Jowialski“ — komedia w 4-ach aktach Aleksandra Fredry. Teatr Szkolny w Jerolimie. — Reżyseria: Wł. Janicki, dekoracje: H. Więckowska.

Komedie fredrowskie, należąc do żelaznego repertuaru każdej sceny polskiej, mają za sobą tyle znakomitych przedstawień, tyle świetnych, sugestywnych aktorskich kreacji, że zwykle trudno wyrwać się spod ich wpływu i spojrzeć na sztukę w świeży sposób, zapominając o konwencjonalnej opinii o jej wartości i pogodzie.

Polski widz teatralny, wychowany przez „Zemstę“, „Śluby panieńskie“, „Pana Jowialskiego“, widzi Fredrę tak, jak nam go pokazał teatr. Teatr zaś skwapliwie korzystał z tego, że szacowne nazwisko klasyka naszej komedii łączyło się z humorem i uśmiechem i że mógł równocześnie spłacać dług wobec tradycji i bawić publiczność. Toteż inscenizacje kładły nacisk przede wszystkim na żywość akcji, wydobywały komizm sytuacyjny, podkreślały malowniczość i rozmaitość komicznych typów, a kiedy zaczynała trochę nudzić staroświecka mechanika komedii, dodawała sztuce blasku wspaniała obsada aktorska.

Ten styl gry był tym łatwiejszy, że liczne sztuki Fredry mają w sobie sporo z farsy, że nawet w najlepszych jego komediach rozwiązanie łączy się z cudownymi wydarzeniami, z odnalezieniem zagubionych rodziców, dzieci, przyjaciół i t. p. Te zaś sztuki, w których prawdziwe oblicze Fredry objawia się wyraźniej, jak np. „Dożywocie“ czy „Odludki i poeta“, rzadziej trafiały na scenę.

Świeżość ujęcia przyniosły dopiero przedstawienia teatru Jaracza. Pomysłne próby wystawienia molierowskich fars jako grotesek (np. „Chory z urojenia“) podsunęły myśl, by podobnej rzeczy spróbować i z Fredrą, doprowadzając jego postacie do wymiarów karykaturalnych. Co jednak udaje się z „Dama mi i huzarami“, najlepszą farsą, jaką ma na szata literatura, zawiedzie tam, gdzie Fredro, pisząc komedię, znajduje się, podobnie jak Moliere, o krok od dramatu.

Wtedy najlepszą drogą zbliżenia sztuki do współczesnego widza jest albo wierne zagranie świetnego fredrowskiego tekstu, albo podkreślenie naszego obecnego stosunku do tych konfliktów, które interesowały autora. Gdy odrzucimy konwencjonalne traktowanie postaci takich sztuk jak „Dożywocie“, czy „Pan Jowialski“, gdy odłożymy ukrytą erotykę „Zemsty“, „Dam i huzarów“, cheiwość „Pana Geidhaba“, mizantropię „Odludków i poetę“, złośliwą satyrę „Wielkiego człowieka do małych interesów“, wówczas wyłoni się wiele rzeczy, których Fredro może nawet obawiał się dopowiedzieć, a komediowi bohaterzy znowu nabiorą rumieńców życia, w swych istotnych namiętnościach zawsze niezmiennego.

Publiczność i aktorzy zubożyli Fredrę, dopiero krytyka literacka wskazała (Boy, Kucharski), ile jeszcze świeżych wzruszeń może dać ów pisarz, łączący realizm obserwacji, trzeźwą spostrzegawczość, z tęsknotą do poezji i romantycznych ideałów. Fredro patrzy przenikliwie na ludzi spojrzeniem, o jakie może nie posadzałyby się humorysty, i w liście do brata zamieszcza aforyzm „...piszmy komedie, grajmy tragedie na tym świecie“.

Najgłośniejszą próbą krytyki postawienia Fredry w nowym świetle była teza prof. E. Kucharskiego, iż „Pan Jowialski“ miał cel polityczny i został napisany z myślą ostryj satyry na marazm społeczeństwa galicyjskiego po r. 1831. Publiczność lwowska na premierze przyjęła niczym najlepszy żart sztuki, która miała być jej krzywym zwierciadłem. Fredro oczekiwał złości i oburzenia, znalazł oślaski. Nie chciał ich słuchać; zawiadziony i okrzyki do społeczeństwa, nie czującego nawet obelgi, opuścił teatr, nie doczekawszy końca przedstawienia.

Ten fakt, jak i to, że „Pan Jowialski“ jest pierwszą komedią, stworzoną przez poetę po głęboko przez niego przeżytej klęsce powstania, pomógł do zatuszowania przez teatr zjadliwej satyry, kłuszczyjącej rodzime lenistwo, obojętność, chłost pieniądza, życie w sferze własnego egoizmu i własnego głupstwa.

Dzisiaj polityczne intencje Fredry, ewentualne aluzje czy to do powstania, czy do stosunków austriackich, są już obojętne dla publiczności. Natomiast sztuka nabiera nieoczekiwane akcentów społecznych i słyszymy w niej to, na co głuche miała uszy publiczność lwowskiej premiery: przeciwstawienie dzierżącemu prym zamożnemu ziemiaństwu t. zw. ludu: pochwałę chłopu i przyganę dla szlachty.

Przywykliśmy na tę komedię patrzeć poprzez jej postać tytułową. Chyba żaden z fredrowskich bohaterów nie stał się tak popularny, jak „Pan Jowialski“ — zszedł on ze sceny w życie i każde dziecko umie dziś jego bajeczki. Popularność jednej roli stworzyła popularność samej sztuki, znacznie przeocenionej i przez krytykę, i przez publiczność. Akcja jej, dość mizerna, opiera się na odwiecznym efekcie farsy, na przebraniu; do farsy też zbliża się akt ostatni, kiedy autor

zakończył satyrę, a musi jeszcze pośpiesznie rozwiązywać intrygę miłosną. Helena, Janusz, Ludmir, powtarzają wzorki romansowej panny, natrętnego zalotnika i idealnego kochanka — cieniujące światło skupiło się na Jowialskim i Szambelanowej.

Zagadką tej komedii jest osoba Szambelana. Jego głuptactwo jest bezsporne, patologia wyraźna, i trudno przypuszczać, by Fredro chciał w nim mieć tylko błazna, śmiejącego widzów, skoro Szambelan budzi raczej grozę i litość, niż wesołość. Rozmowa Heleny z ojcem, gdzie ojciec myśli o ptaszkach, podczas gdy córka radzi się go w swej najważniejszej decyzji życiowej — nie jest komiczna, jest ponura, i chyba tylko w „Dożywociu“ znajdują się u Fredry równie przynębiające momenty. Ponadto, kiedy Szambelan próbuje dorównać temu, co dla niego jest ideałem inteligencji — przysłówiom Jowialskiego, — i kiedy cofa się zrezygnowany i smutny, nie czujemy śmieszności, lecz raczej współczucie i smutek. Podczłowiek Papkin pisze testament, bawiąc widza, podczłowiek Szambelan męczy się nad aforyzmami o kijkach grubszych i cieńszych ku naszemu zmartwieniu. Papkin jest kłownem, Szambelan nim nie jest. I ta właśnie realność, ludzkość postaci Szambelana jest wytłumaczalną tylko wtedy, gdy staje się częścią panopticum ziemiańskiego domu Jowialskich...

O głównej osobie tego towarzystwa, o panu Jowialskim, urobili się dwie sprzeczne opinie: publiczność została przyzwyczajona widzieć w nim symbol zacnej, szczęśliwej starości, krytyka zaś uważa go za automat przysłów, dziedzinniałego starowinę, za głupego prawie.

Zdaje się, że nie jest on ani jednym, ani drugim. Stosuje Pan Jowialski swe przypowiadki zręcznie i trafnie i są one nie tyle wyrazem jakiejś aberracji umysłowej, ile zasłoną przed familijnymi kłopotami. Starość, wchłonięcie wszystkich już doświadczeń życia, doprowadziły Jowialskiego do egoizmu późnych lat, który odradza się od życia, a zamyka we własnych, sztucznie stworzonych radościach, najczęściej w tej czy innej manii. Biała temu, kto się jej sprzeciwia, wszystkie zaś względy znajdują się dla tego, kto jej pochlebia. Tak niby czule kochaną żonę zmusza Jowialski do obrażającego jej wiek przebrania, tak kochaną wnuczkę zostawia samą z człowiekiem niewiadomego nazwiska i pochodzenia, byle zobaczyć, co z tego „zabawnego“ wyniknie. Śmiejemy się konfuzji Janusza, z powtórzenia molierowskiego „sam chciałeś“, ale doprawdy Janusz ma pełną rację, gdy po-

stępowanie domu Jowialskich uważa za szalone. Nic jednak nie poradzi, gdy nowy przybysz potrafi dogodzić grafomańskiej i aktorskiej próżności starego; Pan Jowialski powie: „my, autorzy!“ i gościa bez nazwiska zaprosi do swego gabinetu. Jesteśmy bliscy podejrzenia, iż niewiele Pan Jowialski czytał, skoro tak zaimponował mu nienapisane jeszcze dzieło Ludmira.

Kiedy zaś próbujemy przypuszczać, że, być może, inny był Jowialski w sile lat męskich, zjawia się przed nami „pan syn“, debilowaty Szambelan, dostatecznie dosadnie określony przez własną żonę. Głupstwo, pustota myśli, jeszcze napoty niewinne u ojca, doszły do apogeum u syna degenerata. Jakby na ironię nosi ostatni męski potomek Jowialskich tytuł szambelana, równie dobrze ośmieszając tę godność, jak godność ośmiesza jego.

Podobnie jak u ojca, mania sprężnięta z egoizmem oddziela Szambelana od prawdziwego życia, zamykając go w świecie klatek i ptaków. I zapewne nie jest to przypadkiem, że Szambelan woli przestawać z ptakami, niż z ludźmi: zwierzęta go nie wyśmiewają, nie poniżają — wśród nich pozostaje nadal kimś wyższym, wśród ptaków i zwierząt jest dopiero człowiekiem.

Dosyć to osobliwe, że podobna kreatura zyskała żonę pierwszą i drugą. O pierwszej nic nie wiemy, druga zaś wyszła za mąż raczej za dobrobyt, majątek i nadzieję spadku po starym Jowialskim, niż za męża z krwi i kości. Uboga i prosta szlachcianeczka usiadała kiedyś generała — majora sztabowego; napoleoński żołnierz przypłacił kochliwość ślubnym związkiem. Po jego śmierci pani majorowa, nabywszy kiejpskiej francuszczyzny i fumów, rozejrzała się za świeżym sposobem zapewnienia sobie dobrobytu. Wybór padł na pieniądze Szambelana. Ożenił go zapewne ojciec, któremu musiał zaimponować kilka francuskich zwrotów przyszłej synowej i wielkopański tony. Snobizm był w środowisku szlacheckim wielkim motorem życiowym, a fmy decydowały często o pozycji i znaczeniu rodziny. Bodaj że Boy przytoczył kiedyś anegdotę o Francuzie, który nas nazwał narodem „s-noblesse“. Na koniec dalszą przyszłość zapewnia sobie Szambelanowa, zdobywając wdzięczność rozsądnego Janusza, konkurenta Heleny, który z mamą przechadza się o wiele częściej niż z córeczką...

Temu światokowi egoizmu i wyrachowania, ciasnoty umysłowej, nudy i zaścianowości przeciwstawia Fredro pokolenie idealistyczne i romantyczne, szukające prawdziwych uczuć, a nie pieniędzy.

Z LUDOWEJ PRASY KRAJOWEJ

(Dokończenie ze str. 7-ej)

ski Ludowej. A wtedy przeprowadzenie na drodze normalnych ustaw i rozporządzeń społeczeństwa wielkich warsztatów wytwórczości przemysłowej, instytucji wielkiego handlu i finansów, będących kręgosłupem ustroju kapitalistycznego — będzie naczelnym zadaniem i obowiązkiem tego rządu.

Kwestią, budzącą najwięcej przeciwstawnych zdań, jest ustrój społeczno-polityczny państwa ludowego. Określamy ten ustrój nazwą demokracji społecznej. Gdy wspomina się o nowych formach demokracji, z miejsca podnoszą się różne zastrzeżenia, wynikające z obserwacji słabych stron i załamania się demokracji liberalnej, która była systemem politycznym, najściślej związanym z ustrojem kapitalistycznym. Demokracja liberalna przyniosła szerokim masom ludowym wiele uprawnień politycznych: wolność słowa, druku i swobodnego zrzeszania się, formalne prawo wpływania na rządy przez instytucje konstytucyjno-parlamentarne; rozbudzała wielkie ambicje ludu przez wytwarzanie pozorów, iż posiada poważny wpływ na państwo przez organy ustawodawcze.

Mimo tych pozorów siły i wpływów demokracji liberalnej, aczkolwiek szczyścić się mogła wielce bojowym rodowodem z lat młodości, przygarnięta do rodziny kapitalizmu w dojrzalszym wieku, była „potulną ciocią“. Kapitalizm przeniknął swymi mackami całe życie, cały aparat państw demokracjonalno-liberalnych, usiłując od siebie kierowników rządu, a demokracji zostawił wyżywanie się w nie zawsze owocnej pracy parlamentarnej. Demokracja liberalna w krajach wielkiego dobrobytu społecznego dawała sobie radę, zwłaszcza w czasach normalnych. Wielkie kłopoty i trudności stanęły przed nią dopiero po wojnie światowej, w czasie wielkich kryzysów ekonomicznych oraz konfliktów społecznych. Wówczas okazała się bezradną i niezdolną w stanowieniu sposobów, jak zapobiec nieszczęściu. Toteż do większego głosu i znaczenia zaczęły dochodzić klasowe ugrupowania mas ludowych, z socjalistami na czele, które wysuwały postulat gruntownej przebudowy społecznej.

Wśród cierpień i bólów rodzi się zawsze nowy porządek rzeczy. Toteż ludzkości przyszedł jeszcze przenieść i przecierpieć: utratę wol-

ności człowieczej, ogołocenie warstw ludowych z dawno zdobytych praw, niedostatki codziennego życia na skutek zbrojnej i wreszcie całej piekło rozpętanej przez zbrojne totalizmy wojny. Faszyzm zdeptał wolność i prawo ludu, zniszczył możność wypracowywania dorobek wszelkich organizacji, instytucji i związków ludowych. Wolnego obywatela zamienił w bezwolne narzędzie rządzącej klikki. Spętał każde jego słowo i poruszenie, stawiając mu przy boku natrętnego konfidenta. Masom bezrobotnym dał zajęcie w fabrykach mordu za marną strawę, a przy zwiększonych godzinach pracy, bo... przecież ma zacząć pracować dla gloryfikowanej przez dyktatorów wojny. Jednostkę, społeczeństwo, naród wraz z duszą i ciałem wtoczył w paszczę nowoczesnego molocha — państwa totalnego.

Wraz z końcem wojny obecnej zniknął muszą ostatnie podpory kapitalizmu.

Wszelkie faszyzmy i totalizmy strawiły się same w pożodze rozpętanej przez nie wojny. Wyzwolone z jarzma germańskiego narody podstaw nowego życia będą się doszukiwały w organizowaniu nie nacjonalistycznych i imperialistycznych, lecz ludowych państw i dobrowoli przez nie utworzonych federacji i unii narodów. Tworzyć kapitalistycznych zaczęły ustępować i zanikać, gdyż nie ma dlań miejsca w państwach ludowych.

Na tle gospodarstwa uspołecznionego w państwie ludowym naturalnym systemem politycznym może być prawdziwa demokracja społeczna, wywodząca swą nazwę stąd, że organizuje się na zasadzie socjalnych, zawodowych i kulturalnych właściwości poszczególnych grup społeczeństwa, które stanowią świat pracy, że następnie nie wyczerpuje swej działalności tylko w dziedzinie politycznej, lecz przenika do wszelkich związków i organizacji społecznych, które warstwy ludowe od dołu budują samodzielnym wysiłkiem. Wynika stąd, że demokracja społeczna, unikając monopartijnej struktury społeczno-politycznej, przewiduje istnienie odrębnych obozów politycznych według właściwości socjalnych i zawodowych, lecz nie dopuszcza nieograniczonego liberalizmu w zakresie działalności politycznej i gospodarczej.

(Pismo „ZYWIA I BRONIA“. Czerwiec 1942).

Jak to się jednak często dzieje z postaciami zeszłowiecznych komedii, Helenka i Ludmir stracili dla nas wiele z czystości swego blasku. Córka Szambelana gotowa jest kochać się i w zbójniku karpackim, jak typowa romansowa gaska, byle niezwykle i idealnie; domniemany zaś zbójnik, w istocie początkujący autor i obieżyświat, chętnie zamieni światoburcze plany na poganianie chłopów w majątku Jowialskiego i przyrzeknie dedykację temu samemu, którego przed chwilą uważał za niezwykle dziwaka, na wsi tylko możliwe. Wszystko psuje do reszty konwencjonalne rozwiązanie, czyniąc niesympatyczną Szambelanową matką Ludmira. Romantyk wchodzi już do rodziny Jowialskich i tylko patrzeć, jak będzie z patriarchą rodu nowe układał przysłówia.

Fredro ośmieszył najstarsze pokolenie, bieg czasu ośmieszył także idealizm Heleny i Ludmira, równie konwencjonalny i powierzchowny, jak staropolskie cnoty Jowialskiego. Sztuka, zamierzona jako częściowa satyra, stała się dziś satyrą całkowitą: na udawane cnoty i na udawane porywy.

Dzień dzisiejszy, zaostrzając w ten sposób pewne rysy „Pana Jowialskiego“, równocześnie uczynił nas bardziej uważnymi na pewną inną myśl Fredry. Oto L u d m i r nie tylko nosi znaczące nazwisko, ale i w tyradzie, zwróconej do towarzysza swych wędrówek, wychwała zalety prostego wiejskiego ludu. Sfera wyższa, utytułowana, ukształcona i zamożna, uważa chłopu za prostaka, niezdolnego do szlachetniejszych uczuć, za istotę pośrednią między człowiekiem a zwierzęciem. Ludmir przeciwstawia temu poczynione na wsi obserwacje i, zgodnie z romantycznymi hasłami, ośmienia, że lud właśnie uczyni bohaterem swej powieści.

Po takim wstępie wprowadza nas Fredro w dziwaczny dom Jowialskich: z pochwałą Ludmira kontrastuje atmosfera egoizmu i interesu, z gorącą uczuciowością i pracą na wsi — życie, spędzane na niemądrych zabawach. Kto wie, czy nie było lepiej dla autora, iż publiczność premiery lwowskiej nie spostrzegła się, jak bardzo ta sztuka jest prawie paszkwilem na sferę ziemiańską i jak jedynie konie, połączenie się Ludmira z Jowialskimi, łagodzi ostrość morału. Przed tym właśnie morałem Fredro się zatrzymał: gdyby Ludmir odszedł, skąd przyszedł, Fredro byłby w tej komedii pisarzem rewolucyjnym i pod względem treści, i formy.

Teatr Szkolny, podejmując się wystawienia tej zgryźliwej komedii, dostępnej w swej istotnej treści co najwyżej dla młodzieży klas licealnych, liczył się ze swymi młodymi widzami. Nie mogąc przed nami zagrać „Pana Jowialskiego“ prawdziwie, zagrał go świadomie fałszywie. Komedie o głupstwie, o pustych głowach i wysychających sercach, obramowano w polonez Ogińskiego „Pożegnanie ojczyzny“, otoczono atmosferą sentymentu dla narodowej przeszłości. Wychowawcza wartość takiej inscenizacji jest bardzo wątpliwa, a ewentualna jej nieszkodliwość polega na liczeniu na brak inteligencji u naszej młodzieży. „Pan Jowialski“ nie nadaje się dziś dla sceny szkolnej, a kto wie, czy i dla pokazania publiczności dorosłej był teraz właściwy moment. Czemuż wybrano tę właśnie komedię Fredry, tak przykrą i drażniącą?

Przy tym zasadniczym zastrzeżeniu trzeba jednak na dobro amatorskiego zespołu zapisać ciągłość pracy, czego dowodem jest wystawienie trzeciej już z kolei sztuki. Z dotychczasowych widowisk to przedstawienie było aktorsko najpoprawniejsze. Wykonawcy podporządkowali się, z jednym tylko wyjątkiem, intencji reżysera, by przerobić satyrę na siełankę. Sam Pan Jowialski (Janicki) miał dużo naturalności, chociaż sposób opowiadania bajek odbiegał od ogólnego rysunku postaci. Pani Jowialska (E. Piątkiewicz) była, jak trzeba, cieniem męża, a Ludmir (J. Sławski) miał umiar w patosie i deklamacyjności swych tyrad. Wreszcie Wiktor — jedyna do dziś dnia sympatyczna postać komedii — został żywo i swobodnie oddany przez S. Jange-na. Duże zainteresowanie wzbudził pierwszy, po długiej przerwie, występ J. Andrzejewskiej. Spełniając jednak intencje reżysera, rezygnując z groteskowego potraktowania rozmarzonej panny, nie mogła artystka przypomnieć publiczności całego swego talentu tak, jakby tego sobie życzone.

Osobna wzmianka należy się Szambelanowi w wykonaniu Kl. Matusiaka. Był on najlepszą postacią komedii i najbliższą tej przekreślonej prawdzie, jaką pokazał Fredro. P. Matusiak nie tylko odstąpił smutne i śmieszne strony tej osobliwej figury, ale dał jej także ludzkie ciepło — uczynił ją dla widza w pełni prawdopodobną.

Starannie kostiumy przygotowała H. Więckowska, sprawnie przedstawienie zapewnił inspicjent, T. Polakowski. O dekoracjach nie sposób mówić, gdy teatr musi grać na prymitywnych scenach, a często i bez sceny, przy słabym świetle i wietrze, szarpającym kurtynę. W tych warunkach wysiłek dekoratora polega na zamianianiu niemożliwości w rzeczy możliwe.

Zdzisław Broncel

OPINIE ANGIELSKIE CZY SOWIECKIE KRÓLESTWO POLSKIE?

Sprawy wewnętrzno-polityczne

Zbliżający się koniec wojny, czy też wybory, wiszące w powietrzu, wprowadziły w atmosferę brytyjską nową nutę. Nutę, której my — cudzoziemcy, znający tylko Anglię czasów wojny — nie słyszeliśmy poprzednio. Walkę partyjną. Nie znaczy to, że nie było kontrowersji przez długich pięć lat wojny, ale była ona przytępiona istnieniem rządu koalicyjnego i wieszczym nad Anglią niebezpieczeństwem, milion razy groźniejszym dla torysów niż reformy Labour Party, a dla Labour Party niż rządy konserwatystów. Kontrowersja, która istniała, — o ile była poważna i odpowiedzialna, — była kontrowersją teoretyczną. To co dzisiaj obserwujemy, jest już grą partii o pozycje. Przedwstępna potyczka. Debaty parlamentarne „White Papers”, czyli propozycje rządowe, a nawet ustawy są jak najwyraźniej robione czy dyskutowane z jednym okiem na wyborcę.

Nie chodzi mi jednak o oficjalną postawę ludzi czy partii. Oficjalna postawa — tak jak oficjalne dementi — ma zbyt wiele do ukrywania, aby można budować na niej logiczną strukturę wniosków. Chodzi mi o imponderabilia, które mają w Anglii, — jak wszystko w tym kraju trzeźwych i praktycznych ludzi, — bardzo konkretny wyraz. Oto parę przykładów:

1. Głos opinii publicznej. W Polsce bywało to zawsze czymś bardzo „państwowotwórczym”, bardzo „świętości nie szargać”, bardzo „nad poziomem”. Górnołotna tromtadacja! Nawet polska opinia publiczna na emigracji nie umiała się wyżyć tych cech. Polska opinia publiczna zawsze musi być: jednolita, patriotyczna, „zwarta, silna i gotowa”. Dlatego np. „Dziennik Polski” nie informuje polskiego czytelnika o konfliktach, jakie się rozgrywają na polskiej scenie politycznej. Po te wiadomości musimy sięgać do prasy brytyjskiej.

Angielska opinia publiczna nie boi się światła dziennego, kontrowersji prasowej. Ale sama debata prasowa jej nie wystarcza. Te „imponderabilia” są zbyt niewymierne. Kontrowersja prasowa pozostawia zbyt wiele luk. Wypełnić ją mają instytuty badania opinii publicznej: *Mass-Observation*, *Gallup Poll*, *Daily Express Centre of Public Opinion* i t. p., które starają się imponderabilia wymierzyć i określić z precyzją 1:100. Te instytuty są obecnie bardzo ruchliwe, ale punkt ciężkości przesunął się ze spraw wojny na sprawy wewnętrzne: ubezpieczenia społeczne, odbudowę, demobilizację i t. d.

2. Debaty ideologiczne. Książka czy artykuł pokazują tylko jedną stronę medalu. Kontrowersja wyrasta dopiero w debacie. Dotychczasowe debaty były ograniczone do rozmiarów sali. Caxton Hall, Westminster Hall, nawet Albert Hall czy Stoll Theatre nie zmieszczą więcej ludzi niż liczy duża wieś. B.B.C. unikało dotychczas kontrowersji politycznej. Ale zdaje się, że powiał jakiś nowy wiatr, bo niemal równocześnie wprowadziło radio angielskie dwa nowe — polityczne i dyskusyjne — programy. Pierwszy program to ex abrupto debaty polityczne. W bieżącym tygodniu Aneurin Bevan (znany czytelnikom „Opinii” poseł Labour Party i redaktor *Tribune*) debatował z Quintin Hogg'em, najwybitniejszym bodaj z „młodych” posłów konserwatywnych, przewodniczącym konserwatywnego „reform committee”. Dyskutowali na temat, „czy rząd koalicyjny ma być utrzymywany po wojnie, czy nie?” Bevan twierdził, że nie; Hogg, że tak. Nie chodzi mi jednak o treść debaty. Obaj mówcy są zręcznymi i inteligentnymi politykami, więc argumenty obu były dobre i rzeczowo uzasadnione. Chodzi mi o fakt, że dopuszczono kontrowersję na fale eteru. A prozę mi wierzyć, że obaj mówcy — choć ani na chwilę nie wypadli z tonu kulturalnej i spokojnej dyskusji — rzucali w siebie bardzo ostrymi politycznymi argumentami i nie oszczędzali się nawzajem. Powyższa debata — po której co tydzień nastąpią inne — nie jest jedynym „grzechem” politycznym BBC. Równocześnie rozpoczęto nową serię udratamizowanych odczytów na tematy wewnętrzno-polityczne p. t. *Getting Things Done!* Zainaugurowało ją słuchowisko J. B. Priestley'a o samorządach (J. B. Priestley jest również znany czytelnikom „Opinii”). Jego pogadanki radiowe w r. 1940 były — jak pisał niedawno *New Statesman and Nation* — niemal równie popularne jak mowy Churchill'a. Drugie słuchowisko było o problemie budowlanym.

Ale... co to wszystko na s obchodzi? Co na s obchodzi angielska polityka wewnętrzna? Kogo interesują angielskie kłopoty budowlane, angielska reforma ubezpieczeń społecznych czy angielskie samorządy? Kogo interesuje rozgrywka wyborcza: torys versus Labour Party? Takie podejście jest błędne. Polityka wewnętrzna krajów europejskich (także Polski) była funkcją wydarzeń międzynarodowych. Polityka zagraniczna dyktowała politykę wewnętrzną. (Czy się to naszym mocarstwom podoba, czy nie!) W Anglii było i jest odwrotnie. Polityka wewnętrzna wpływa na politykę zagraniczną. Może więc naprawdę warto się tą angielską polityką wewnętrzną zainteresować?

Po śmierci Wendell Willkie'go

Gdy Wendell Willkie był w Londynie w r. 1941, rozmawiał z królem i Churchillem, z członkami Izby Gmin i z ludźmi na ulicy. Jechał na górnej platformie autobusu i zwiędzał podziemne schrony Londynu. Ówczesne gazety opowiadały następującą historię: w jednym ze schronów rozmawiał Willkie z jakimś prostym człowiekiem. „Willkie?! Skądś znam to nazwisko! Czy nie był prezydentem Stanów Zjednoczonych?”

O mały włos, a byłby! W wyborach r. 1940 uzyskał 22 miliony głosów przeciw 27 milionom Roosevelta. Ten sukces był tym bardziej niespodziewany, że Willkie był do wiosny r. 1940 figurą, nieznaną w polityce.

Willkie urodził się w Elwood, Indiana, 18 lutego 1892 r. Był pochodzenia niemieckiego. Jego dziadek, który nazywał się jeszcze Willcke, był liberałem i opuścił Niemcy po 1848 r. Ojciec Willkiego był prowincjonalnym adwokatem. Podczas krachu 1893 r. stracił cały majątek, i młody Wendell musiał własnym przemysłem zdobywać sobie wykształcenie. Pracował ciężko i zaczął od samego dołu. Dzięki swej energii wybił się jednak wkrótce. Został adwokatem i bronił interesów wielkiego koncernu elektrycznego Southern and Commonwealth Corporation. W r. 1918 oż-

nił się z panną Edith Wilk. W r. 1933 został wybrany prezesem Southern and Commonwealth Corporation i na tym stanowisku włąślił się procesem z T.V.A. Był w owym czasie zwolennikiem nieskrępowanej przedsiębiorczości prywatnej, którą uważał za równie ważną, jak wolność myśli i wolność słowa. Te poglądy, wygłaszane przez człowieka, który zyskał dużą renomę dzięki swej walce z rooseveltofskim *New Deal*em, sprawiły że wielu ludzi poczęło go uważać jako „możliwość” polityczną. Jednak kiedy na wiosnę r. 1940 *Saturday Evening Post* zamieściła artykuł generala Hugh Johnstona, stwierdzający, że Wendell Willkie byłby dobrym prezydentem Stanów Zjednoczonych, wytrawni politycy kiwali powątpiewając głowami. Ale pomysł chwycił, jak ogień na wysuszonym stepie. Wszyscy pamiętamy tę zawrotną kampanię wyborczą, która omal nie wyniosła Willkiego do Białego Domu.

Znawcy twierdzą, że Willkie mógł być wygrać wybory r. 1940, gdyby schlebiał izolacjonistom. Ale nie chciał dla taktyki wyborczej działać wbrew przekonaniom. Gorąco poparł nawet swego przeciwnika Roosevelta w sprawie przekazania 50 starych amerykańskich kontrtorpedowców Anglii. Willkie „przegrał” wybory, ale zdobył wielkość, jak pisał R. Waithman, korespondent amerykański *News Chronicle*.

W r. 1941 wyruszył w swoją wielką podróż do Anglii, Rosji i Chin. Z zaściankowej amerykańskiej polityki wewnętrznej wyszedł na gościniec polityki światowej. Jego książka „One World”, która rozeszła się w Stanach Zjednoczonych w ilości jednego i pół miliona egzemplarzy, była najbardziej znanym wyrazem jego zapatrywań politycznych.

Od tego czasu Willkie rósł w postawie i znaczeniu. A to, że w obecnych wyborach nie potrafił uzyskać nominacji partii republikańskiej, nie obniżyło jego znaczenia w amerykańskim życiu politycznym.

Późno zabrał się Willkie do polityki. Walka o byt — czy po prostu walka o majątek — absorbuje nasze najlepsze lata. Ale gdy zaczął politycznie myśleć, nie szukał łatwiny oportunizmu. Ten adwokat wielkiego przemysłu i przeciwnik *New Deal*u przeszedł w ciągu ostatnich paru lat bardzo na lewo. A jak wiele mówi fakt, że bronił — jako adwokat — bezinteresownie przed Sądem Najwyższym prawa komunisty do wyznawania jego zasad. A to nie przeszkodziło mu bynajmniej w interwencji — niestety spóźnionej — w sprawie Erlicha i Altera.

Zarzucono mu, że lekkomyślnie zraża sobie ludzi, mówiąc prawdę w oczy. „*I'm Wendell Willkie and I say what I damn, please!*”, odpowiedział. I ta wierność sobie samemu, swym przekonaniom i zasadom, w świecie, który nie ma ani zasad, ani przekonań i który nie zna lojalności myśli, a tylko lojalność żołądka (żołnierza najemnego), stawiają go między największymi ludźmi naszych czasów.

Angielskie „trzy po trzy”

Angielskie zainteresowanie Francją jest bardzo głębokie. Antagonizm anglo-francuski (o którym tak wiele mówiło się na kontynencie i na który liczone w każdej kawiarnianej debacie) gra na szczeblu szarego człowieka — we Francji antybrytanizm, ale nigdy w Anglii antyfrancuskość. Na najwyższym szczeblu politycznym — być może?! Ale tam jest tak wiele interesów prywatnych, że nie można tym mierzyć sentymentu popularnego. Przeciwnemu Anglikowi Francja bardzo imponuje. Jeśli zna język francuski, pochwały się tym przy najbliższej okazji, mimo wrodzonej angielskiej powściągliwości. W dniu zdobycia Paryża ten „exhibicjonizm” osiągnął szczytu. Każdego, mówiącego z cudzoziemską, witano entuzjastycznie jakimś fatalnie wymawianym „vive la France”, lub czymś podobnym. Zecer w drukarni powiedział do mnie, wskazując na korektę, leżącą obok na stole: „La bas, Monsieur”. Co chciał przez to powiedzieć, nie wiem, ale chciał przy tej sposobności zadokumentować swą sympatię dla Francji.

Angielska prasa dokonuje cudów propagandy dla Francji. Wydaje się nieraz, jak gdyby propozycja Churchilla z r. 1940 — Unii anglo-francuskiej — była wciąż jeszcze, mimo wszystko, kietowana. Dzięki propagandzie angielskiej wypłynęło nazwisko de Gaulle'a. Propaganda angielska nadała FFI (Force Française d'Interieur) ten szalony rozgłos, który — nie umiem oprzeć się wrażeniu — zdziwił najbardziej FFI.

Tym razem Anglicy wybijają się na czoło „newsów”. Operacje wojskowe w Holandii porównują śmiałością strategii i taktyki. I znowu Montgomery jest odpowiedzialny za ten wyczyn. Podobnie jak był odpowiedzialny za lądowanie w Normandii, za Caen i Falaise (bezpośrednio), a pośrednio — jako głównodowodzący wojsk ekspedycyjnych we Francji (w pierwszej fazie kampanii) — za przełom amerykański w Bretanii.

Trudno zdefiniować angielskie poczucie humoru. Ale oto przykład: BBC nadało nie dawno następujące oficjalne ogłoszenie: „Osoby potrzebujące benzyny, mają zgłosić pisemnie zapotrzebowanie. Nie powinny w tej sprawie telefonować do urzędu, *because this might be answered with irritation*”.

H. S. Dominik

Londyński „The Economist” ogłosił w numerze z dn. 19 sierpnia artykuł p. t. „Soviet Kingdom of Poland?”, który przedrukujemy tutaj w całości.

„Rosja nie może być bezpieczna bez odpowiedniej granicy militarnej i jest dla niej rzeczą wielkiej wagi, by położyć kres niepokojom wśród Polaków. Wziąwszy pod uwagę wszystkie te rozważania, nie sposób jest oponować przeciw temu, by Rosja, zgodnie z dyktatem sprawiedliwości, powiększyła swe terytorium”.

Słowa te nie są wyjęte z żadnego współczesnego dokumentu. Zaczepnięte są z memorandum, przesłanego Castlereagh'owi przez Aleksandra I-go w r. 1814. Podobnie jak wiele innych rzeczy, powiedzianych lub napisanych podczas Kongresu Wiedeńskiego, nagle nabrały one nowej aktualności. Wówczas dyplomaci świętego Przymierza dyskutowali przedstawiony przez cara rosyjskiego projekt utworzenia Królestwa Polskiego. Że car pragnie „silnej i niepodległej Polski”, powtarzano wówczas być może w słowie i piśmie równie często, jak to się czyni dziś, gdy mowa o marszałku Staliniu.

Królestwo Polskie zrodziło się w r. 1815, w r. 1831 złożono je do grobu. Polska została wcielona do Rosji. Lecz, na swój sposób, car Aleksander był całkowicie szczery w swym pragnieniu „silnej i niepodległej Polski”, właśnie na tyle, na ile jest na swój sposób szczery marszałek Stalin. Że cesarz rosyjski domagał się Polski silnej — silnej terytorialnie i ludnościowo — widać z tego, iż pierwotnie zamierzał on połączyć w jedno królestwo wszystkie ziemie polskie, znajdujące się pod panowaniem Austrii, Prus i Rosji. Projekt ten spotkał się z silną opozycją ze strony Liverpoola i Castlereagh'a, którzy nie mogli zgodzić się na rozwiązanie sprawy polskiej ze szkodą swych aliantów, austriackiego i pruskiego.

Usiłowania cesarskie, zmierzające do uzyskania korzystnej granicy na zachodzie, znalazły chętnych posłuch wśród samych Polaków. Prawda, Królestwo Polskie połączone było z Rosją unią dynastyczną. Imperator wszechrosyjski sam się koronował jako król polski. Lecz w epoce, gdy monarchowie z laski Bożej tak niedawno dopiero na nowo utrwaliли swe trony i odzyskali pewność siebie, więź dynastyczna dwu państw nie koniecznie musiała prowadzić do utraty niepodległości przez jedno z nich. Bynajmniej nie można powiedzieć, że niepodległość Królestwa Polskiego w pierwszych latach po Kongresie Wiedeńskim istniała tylko na papierze.

Jak dziś dla marszałka Stalina, tak niegdyś dla cara Aleksandra czynnik strategiczny był dominujący. Dbał on o jedność polityki zagranicznej swego rosyjskiego imperium i polskiego królestwa. Lecz w innych dziedzinach nie usiłował podważać polskiej niezależności i nie chciał pozwalać Rosjanom mieszać się w wewnętrzne sprawy polskie. Nie chciał też przesześcić rosyjskiego systemu rządów na grunt polski. W Petersburgu Aleksander I był władcą absolutnym, w Warszawie był monarchą konstytucyjnym. Jego rząd polski, złożony ze szczerych i dużej miary patriotów, był odpowiedzialny przed dwuizbowym parlamentem. Urzędnikami mogli być tylko Polacy. Językiem urzędowym był wyłącznie język polski. Stworzono armię polską, niezależną od armii rosyjskiej.

Konstytucja polska — której projekt opracował wielki statysta polski, ks. Adam Czartoryski — gwarantowała obywatelom Królestwa wolność osobistą, wolność religii i prasy. W sto lat później nacjonalistyczny historycy polscy uważali ją za „pod pewnymi względami najbardziej postępową i liberalną ustawę konstytucyjną w Europie”. Zdaniem tych historyków system wyborczy, wprowadzony przez cesarza w Polsce, „był znacznie lepszy od angielskiego systemu wyborczego z czasów przed „Ustawą o reformie”.

Postęp pod rosyjskim panowaniem

Pierwsze lata istnienia Królestwa stanowiły okres istotnego postępu społecznego. Rozbudowano i unowocześniono system nauczania. Pod kierunkiem Staszycza, wielkiego polskiego patrioty i działacza na polu oświaty społecznej, założono podwaliny polskiego górnictwa. Niezwykle uzdolniony polski minister skarbu, Lubecki, stworzył nowy system gospodarki finansowej, którego ukończeniem było założenie Banku Polskiego. Wyłączność przywilejów szlacheckich została ograniczona; złagodzone dotkliwość pańszczyzny. Najbardziej znamienny dla tego okresu postępu był fakt, że to właśnie za panowania Aleksandra I-go założono uniwersytet w stolicy Polski. W orędziu swym do pierwszego sejmku w r. 1818 car rzekł: „Wasze nadzieje i moje życzenie zostały urzeczywistnione”. Trudno kwestionować prawdziwość tych słów. Jeden z najbardziej uroczystych hymnów polskich, po dziś dzień śpiewany, został napisany na cześć rosyjskiego imperatora i polskiego króla.

Z tych wspomnień historycznych mogłoby niemal wynikać, że ustrój Królestwa Polskiego należy uważać za najlepszy do naśladowania wzór; i zaprawdę, podobna unia Polski i Rosji, gwarantująca te same wolności, równie gietka — mogłaby znowu przynieść w wyniku okres intensywny

*) „Ustawa o reformie”, „Reform Bill” znacznie rozszerzyła w r. 1832 czynne prawo wyborcze w Anglii (przyp. tłumacza).

nego postępu społecznego. Można by uwierzyć w zapewnienia, że Rosjanie nie zamierzają przesześcić na grunt polski sowieckiego systemu rządów. Dualizm polityczny, autokracja w Rosji i konstytucjonalizm w Polsce — którego istnienie uważał za możliwe Aleksander I — nie wydaje się być osiągnięciem, na które nie mogłby się zdobyć polityczny rozum Stalina. Można więc w dyskusji dowodzić, że obecne obawy o utratę narodowej wolności i swobód politycznych mogą być przesadzone. Nie można też wątpić, że slogany o ekspansji na zachód mogą trafić do przekonania Polaków równie dziś, jak lat temu 130. Marszałek Stalin mogłby tak samo prawdopodobnie znaleźć współpracowników wśród szczerzych polskich patriotów; a miłośnicy analogii historycznych nie mogą się po prostu oprzeć porównaniu gen. Roliżymierskiego, nowomianowanego pro-sowieckiego naczelnego wodza armii polskiej, z gen. Zajączkiem, z poręki Aleksandra, wicekrólem Polski. Nim został wicekrólem, gen. Zajączek — „człowiek wielkiej odwagi i słabego charakteru” — walczył w legionach polskich pod wodzą Napoleona przeciw Rosji. Gen. Rola-Zymierski należał do pierwszych legionistów Piłsudskiego; z poprzedniej wojny, z pierwszych bojów legionowych z Rosjanami, wyniósł dwadzieścia jeden ran.

Załamanie się unii

Lecz była to tylko połowa dziejowej lekcji. Historia Królestwa Polskiego obfitowała w bar dziej ponure wydarzenia, niektóre z nich stanowią groźne ostrzeżenie. Po piętnastu latach istnienia Królestwo Polskie rozpadło się w gruzy w wojnie rosyjsko-polskiej z lat 1830—31. Dwa konflikty doprowadziły do tego smutnego końca. Pod rządami swej konstytucji Polacy mieli w sam raz dość swobody, by domagać się pełni niepodległości. Car posiadał w sam raz dość władzy, by unicestwić polską niepodległość, gdy Polacy stawiali się zbyt „krnąbrni”. Tajne organizacje patriotyczne wyrastały po całym kraju jak grzyby po deszczu. Z początku nie były one wcale wrogie monarchii. Później, niekonstytucyjne środki represji sprawiły, że przyjęły one skrajnie antyrosyjską postawę. Stosowanie ustawy konstytucyjnej było sabotowane przez nieprzejednane elementy zarówno po stronie rosyjskiej, jak i polskiej. Polskie tajne organizacje nawiązały kontakt z podobnymi organizacjami w Rosji, gdzie w 10 lat po Kongresie Wiedeńskim przygotowywano rewolucję Dekabrystów.

Drugim powodem tarcia pomiędzy królem a jego polskimi poddanyymi była sprawa wschodnich granic Polski. W pierwszych latach swych konstytucyjnych rządów w Polsce Aleksander przyrzekł Polakom przyłączyć do Królestwa kilka, uprzednio anektowanych przez Rosję, okręgów W. Ks. Litewskiego, obejmujących Wilno, Grodno i Białystok. Polacy domagali się również przyłączenia do Polski obszaru ziemi ukraińskiej łączącej się z Kijowem. Tego żądania od początku cesarz nie aprobował. Lecz nie wykonał on również swej obietnicy co do Wilna, Grodna i Białegostoku.

Te dwa zarzewia konstytucyjne i terytorialne wybuchły jednym płomieniem. Przywódca tajnych stowarzyszeń, Łukasieński, został bezprawnie wtrącony do lochów twierdzy Schlüsselburskiej, gdzie więziono go przez lat czterdzieści. Przywrócono cenzurę gazet, czasopism i książek. Liberalna konstytucja stała się tylko martwą literą. W końcu sejm mógł obradować jedynie w cieniu rosyjskich bagnatów. Szczere i liberalne intencje cara speliły na niczym, ponieważ były nie dosyć liberalne i nie dosyć szczere, by mógł on naprawdę uszanować aspiracje starego i dumnego narodu. Dbając wyłącznie o bezpieczeństwo Rosji, nie troszczył się on dostatecznie o to, by i Polska czuła, że nie jej nie zagraża ze strony Rosji.

W napisanych przez Byrona słowach car „Nawpół już stał w liberalnej powodzi, Lecz znow skrępił w chłodzie poranka

Jakże szlachetnie przywrócił Polakom ich sejm,
A potem kazał milczeć walecznej Polsce.”

Lecz w r. 1830 Polska, do której doszły już echa lipcowej rewolucji we Francji, nie chciała dłużej milczeć. Z herbu Królestwa — na którym Białe Orzeł rozpościł skrzydła na tle dwugłowego czarnego orla — polski Orzeł oderwał się do lotu.

Opinia publiczna a niepodległość Polski

Krytyków może ze zrozumiałych powodów rzucić owo romantyczne pasmo, które wieje się przez historię Polski. Lecz realisci muszą korzystać z doświadczeń historii i winni zwracać baczną uwagę na charakterystyczne cechy narodu. Analogia z okresem czasu po r. 1814 jest tak oczywista, że nie warto zajmować się jej udowadnianiem. Dyplomacja rosyjska — która dziś, jak się zdaje, znacznie pilniej niż jeszcze kilka lat temu, przysłuchuje się głosowi historii — uczyniłaby rozsądnie, gdyby swe zamierzenia w stosunku do Polski skonfrontowała uważnie z historyczną prawdą o stosunkach między obu państwami. Należałoby pamiętać o tym, jak bardzo carska polityka w stosunku do Polski przyczyniła się do wykopania przepaści, która w XIX w. oddzieliła liberalny i postępowy Zachód od Rosji.

Problem Polski był jednym z centralnych zagadnień w debatach Sprzymierzonych na Kongresie Wiedeńskim. Polacy nie mogli wtedy stawiać żądań; apele ich niewielki mogły mieć wpływ na decyzje mężów stanu; w wojnie walczyli oni po stronie Napoleona. Jako zwycięzcy wystąpili na konferencji pokojowej trzy państwa, które już kiedyś dokonały rozbioru Polski. Jednak, nawet w tych warunkach, opinia brytyjska nie milczała. W liście do Castlereagh'a pisał Liverpool w listopadzie 1814 r.:

„Nie mamy co przed sobą ukrywać, że będziemy musieli stoczyć ciężką walkę z opinią publiczną, gdy staniemy w obronie układu, który nie przyniesie niepodległości Polski”.

Na przyszłej konferencji pokojowej przedstawiciele Polski zjawiają się z ważkim tytułem jej starszeństwa w przymierzu, jej cierpień od r. 1839 i tylorakiego jej wkładu do wysiłku wojennego Sprzymierzonych.

Czyż można wątpić, że każdy „układ”, który nie przyniesie rzeczywistej niepodległości Polski, tym razem wywoła „walkę z opinią publiczną” o wiele bardziej wyżętą, o napięciu o wiele silniejszym niż w czasach Liverpoola?

N O W O Ś Ć !

Nakładem Wydawnictwa „W DRODZE”

ukaze się w najbliższych dniach książka

WŁADYSŁAWA CHOMY

TOBRUK-GAZALA

Cena: 250 milsów.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Kampania wyborcza w Ameryce była tym razem szczególnie gorąca. Ogólnie przypuszczano, że kandydat, który przejdzie, zwycięży nie wielką ilością głosów. Reprezentacyjny organ Republikanów, tygodnik „The Republican”, tuż przed wyborami obliczał, że Dewey ma zapewnione głosy 232 elektorów, Roosevelt — 229, a pozostałych siedemdziesięciu przechylili szalę zwycięstwa. W rzeczywistości Dewey ma w kolegium elektorów 118 głosów, Roosevelt — 413. Wynik wyborów był niespodzianką. Nie przypuszczano, że zwycięstwo Roosevelta będzie tak zupełne. Roosevelt nie tylko został po raz czwarty prezydentem, ale ma także zapewnioną większość w Izbie Reprezentantów i w Senacie. Ma więc na najbliższe dwa lata związane ręce i będzie mógł politykę swą względnie swobodnie realizować. W Senacie Demokraci nie osiągnęli co prawda tej większości dwóch trzecich głosów, jakich trzeba do ratyfikowania traktatów, ale prez. Roosevelt jest zbyt zręcznym taktikiem gry parlamentarnej na to, aby sobie z taką trudnością nie mógł dać rady.

Zwycięstwo Roosevelta to wydarzenie polityczne ogromnej doniosłości. Wyniki wyborów świadczą przede wszystkim o ciekawym przesunięciu układu sił w społeczeństwie amerykańskim. Żeby je właściwie ocenić, trzeba pamiętać, że Demokraci i Republikanie to nie są właściwie partie polityczne w znaczeniu europejskim. Są to raczej potężne bloki wyborcze, w których skład wchodzi elementy bardzo różnorodne politycznie i społecznie. Trzon demokratów stanowią z jednej strony masy robotników i inteligencji pracującej wielkich miast, z drugiej — farmerzy Południa. Pierwsi są radykalni, drudzy — bardzo zachowawczy. Łączy ich oba bardzo różnorodne elementy opozycja przeciwko wielkiemu kapitałowi przemysłowemu i bankowemu i świadomość, że tylko daleko idąca ingerencja państwa w życie gospodarcze może je ocalić przed bezrobociem i wyzyskiem wielkiego kapitału.

Interesy tego wielkiego kapitału reprezentują przede wszystkim Republikanie. Reprezentują przede wszystkim dlatego, że są wyrazicielami pełnego liberalizmu gospodarczego, klasycznego laissez-faire, nie krepowania inicjatyw kapitału państwowymi planami gospodarczymi.

Ta linia podziału zna wyjątki. Można by bez trudu wskazać zarówno na ten czy drugi potężny koncern przemysłowy, popierający Demokratów, jak — z drugiej strony — na tego czy innego dysydenta politycznego ruchu robotniczego, związanego z Republikanami. Tym nie mniej ta linia podziału jest bardzo wyraźna. Slogany wyborcze Republikanów szczególnie mocno ją podkreślały.

Otóż, jak pokazują wyniki ostatnich wyborów, Roosevelt przeszedł głosami przede wszystkim robotników i inteligencji pracującej wielkich ośrodków przemysłowych. Amerykański świat pracy obwołał go swoim wodzem. Ten charakter wyborów musi znaleźć swoje odbicie w polityce amerykańskiej. Przede wszystkim wpłyną one na przesunięcie się sił w samej partii Demokratycznej. Słabnie w niej waga głosów farmerskiego Południa. Jest rzeczą charakterystyczną, że wśród zmian, jakie w wyniku wyborów mają przysięść w administracji Roosevelta, na pierwszym miejscu wymienia się odejście „z powodu złego stanu zdrowia” sekretarza stanu dla spraw zagranicznych, Cordella Hulla, przedstawiciela właśnie tego farmerskiego Południa. Wyniki wyborów muszą też wpłynąć na kierunek przyszłej polityki wewnętrznej prez. Roosevelta: powinna się ona bardziej niż dotychczas stać wyrazem aspiracji politycznych mas robotniczych.

Przede wszystkim jednak wybory powinny zażywać na polityce zagranicznej Stanów. Rzecz prosta, i tu winniśmy się wystrzegać zbytnich symplifikacji. Dewey, gdyby przeszedł, nie przerwałby wojny z Niemcami: nie wypuszcza się z rąk wojny w 90 procentach wygranej. Tak samo i po zwycięstwie Deweya a Stany Zjednoczone w jakiś sposób po wojnie zaangażowałyby się w przyszły międzynarodowy porządek świata. Bezpieczeństwo Stanów jest bowiem związane z tym porządkiem w sposób tak mocny i oczywisty, że jest to dziś dla nich po prostu konieczność historyczna. Ale rozkład akcentów byłby w polityce zagranicznej Stanów po zwycięstwie Deweya inny. Prez. Roosevelt jest gorącym zwolennikiem silnej światowej organizacji bezpieczeństwa, będzie do stworzenia takiej organizacji energicznie dążył i gotów jest tutaj na daleko idące zaangażowanie Stanów Zjednoczonych. Publicystyka republikańska często podkreślała, że dla Stanów Zjednoczonych ich wojna jest wojna z Japonią, że ich wrogiem nr 1 jest Japonia. Dla Roosevelta wojna z Niemcami jest co najmniej tak samo ważna jak wojna z Japonią. Politykę Roosevelta charakteryzuje żywe zainteresowanie sprawami europejskimi, gotowość pełnego udziału USA w zagadnieniach bezpieczeństwa Europy. Powtarzamy: byłoby prymitywnym uproszczeniem sprawy powiedzenie, że Dewey prowadziłby politykę izolacjonistyczną, ale tym niemniej wy-mownym jest fakt, że wszyscy izolacjoniści głosowali na Deweya.

Dwa projekty „twardego” pokoju dla Niemiec wyszły z kół demokratycznych. Jeden z nich to projekt Sumner Welles'a podziału Niemiec na trzy państwa, drugi to projekt sekretarza skarbu, Morgenthau'a — przekształcenia Niemiec na państwo rolnicze. Projekty te spotkały się z gwałtowną polemiką w prasie republikańskiej. Ogłaszanie takich projektów — zarzucała prasa republikańska — to woda na młyn propagandy Goebbelsa, to podsyłanie fanatyzmu niemieckiego. Od takich oskarżeń do nastawienia filoniemieckiego jest bardzo daleko, ale tym nie mniej jest rzeczą pewną, że gdyby Dewey przeszedł, Niemcy mieliby więcej szans na wytargowanie czy kompromisowego pokoju, czy korzystniejszych warunków po wojnie.

Jednym z najczęściej powtarzanych sloganów propagandy niemieckiej było ostatnio przypomnienie, że tak samo jak w Wojnie Siedmioletniej sytuacja z rozpaczliwej może się nagle zmienić na korzystną, że więc należy wytrwać w wojnie. Jeśli ta analogia historyczna ma mieć jakiś sens, sens ten może być tylko jeden. Oto na dnie takich przypomnień kryła się nadzieja — raczej cień nadziei, zbyt ryzykownej, żeby ją wypowiadać wprost — że może jednak Dewey będzie chciał odegrać rolę cara Piotra III, i że rok 1944 przyniesie powtórzenie się cudu z r. 1762. Wybór Roosevelta przekreśla te nadzieje. Wyborowi temu Niemcy starali się w r. 1940 przeszkodzić wszystkimi im dostępnymi wtedy środkami akcji dy-

plomatycznej i wybór ten odczuli wtedy jako ciężką klęskę. Jest on nie mniejszą klęską dla nich i dzisiaj. Oznacza, że dotychczasowa polityka Sprzymierzonych wobec nich nie ulegnie zmianie.

W niektórych kołach polskich pewnie zamieszanie wywołała ta okoliczność, że Dewey w swych wypowiedziach przedwyborczych energicznie popierał politykę ZSRR wobec Polski (mówił o niebezpieczeństwie czwartego rozbioru Polski) oraz że prasa republikańska zajmuje wobec Rosji dużo krytyczniejsze stanowisko od demokratycznej. Należy jednak na to odpowiedzieć, że po pierwsze Dewey, nie będąc w czasie kampanii człowiekiem odpowiedzialnym za politykę zagraniczną USA, miał dużo większą od Roosevelta swobodę wypowiedzi właśnie w sprawach polityki zagranicznej. Doświadczenie zresztą uczy, że obietnice wyborcze to jedno, a realna, konkretna polityka po wyborach — to coś innego. Po drugie zaś należy pamiętać, że to co już raz podkreślano na tym miejscu, że celem republikańskich głosów krytycznych o ZSRR było nie tyle namawianie polityki Stanów Zjednoczonych do przeciwstawienia się roszczeniom rosyjskim, ile wytłumaczenie opinii amerykańskiej, że ponieważ ZSRR to nie jest odpowiedni partner, lepiej żadnymi umowami politycznymi się z nim nie wiązać, a wobec tych problemów europejskich, w które wpłata jest Rosja, zająć stanowisko niezamieszane widza (mala z tego pociecha, że krytycznego) i polityki amerykańskiej w tych sprawach nie angażować. Nie trudno zrozumieć, które z tych stanowisk jest dla nas niebezpieczniejsze. Zresztą najwymowniejszym dowodem będzie tu fakt, że od dawna zresztą związana z Demokratami Polonia amerykańska — mimo intensywnej agitacji — głosowała za Rooseveltem.

W mowie, jaką Stalin wygłosił w rocznicę rewolucji, w przeddzień amerykańskich wyborów prezydenckich, po raz pierwszy znalazły się aluzje antyjaapońskie. Były one co prawda charakteru raczej akademickiego — Japonia przytoczona została jako przykład agresora — i od takiej wzmianki do czynnego wystąpienia przeciwko Japonii jeszcze gościniec arcyduży: stosunki między ZSRR a Chinami Cchang Kai Szeka są nadal napięte, Rosja umiała wyciągnąć ze swoich poprawnych stosunków z Japonią duże korzyści, a co najważniejsze, Rosjanie rozumieją bardzo dobrze, że swoją wyjątkową sytuację dyplomatyczną zawdzięczają właśnie temu, iż mają wolne ręce na Dalekim Wschodzie. Ale było to pierwsze wystąpienie antyjaapońskie głowy rządu rosyjskiego, dotychczas bardzo skrupulatnie przestrzegającego neutralności w stosunkach z Japonią, i jako takie musiało pomóc Rooseveltowi w jego zwycięstwie nad izolacjonistami.

W mowie Stalina znalazły się także ustępy, poświęcone omówieniu przyszłej, powojennej organizacji bezpieczeństwa. Sprawili one jednak w świecie raczej uczucie zawodu. Jeśliby sądzić po tej mowie, to marsz. Stalin zadanie tej organizacji pojmując bardzo ciasno: miały to być po prostu rodzaj policjanta, któryby pilnował, aby Niemcy nie zbroili się i nie przygotowywali do przyszłej wojny, i nie więcej. Projekty anglosaskie idą — jak wiadomo — znacznie dalej. Dają one do wypracowania planów polityki gospodarczej w skali globalnej, do stworzenia międzynarodowej organizacji bezpieczeństwa, która by miała prawo ingerować we wszystkie możliwe przyszłe konflikty między państwami, bez względu na to, między kim by one powstały. Dają one do uregulowania w skali międzynarodowej kwestii zbrojeń. Tu — zdaje się — tkwi punkt dla Rosjan drażliwy. Rosjanie nie życzą sobie żadnej międzynarodowej kontroli nie tylko ich zbrojeń, ale w ogóle w żadnych sprawach, związanych z ich powojenną organizacją gospodarczą. Tak należy rozumieć niechęć Rosji do brania udziału w międzynarodowej konferencji, poświęconej sprawom organizacji komunikacji lotniczej po wojnie. Tłumaczenie bowiem, że Rosjanie nie mogą zasiadać przy jednym stole obrad z państwem o tak „profaszystowskiej” polityce zagranicznej, jak Szwajcaria, nie można rozumieć inaczej jak tylko jako pretekst.

W takiej postawie Rosji tkwi niebezpieczeństwo dla wszelkich powojennych projektów międzynarodowej organizacji świata, opartej na zasadach równości państw, a nie supremacji niekontrolowanych mocarstw. Lekcja konferencji w Dumbarton Oaks miała swoją wymowę.

Więści o nowej broni niemieckiej wyglądają efektownie: niemal jak opowieść z fantastycznej powieści Jules'a Verne. Mimo to nie wydaje się, aby — jak dotychczas — narobiły one dużo szkody w Anglii i na pewno wiadomo, że na dalsze losy wojny nie potrafią one wpłynąć: jest już na to za późno i sytuacja militarna Niemców jest już na to zbyt jednoznaczna.

Ale zato z innego punktu widzenia zasługują one na jak najbardziej uwagę. Oto można powiedzieć, że rola ich w wojnie obecnej w stosunku do wojny przyszłej jest analogiczna do tej roli, jaką odegrały w poprzedniej wojnie światowej tanki. Że jest to broń przyszłości, która zrewolucjonizuje raz jeszcze strategię wojenną. I dlatego sprawę bezpieczeństwa po tej wojnie będzie mógł trafnie rozwiązać tylko ten, kto w następnej wojnie będzie myślał nie w kategoriach wojny czołgów i latających fortec, ale w kategoriach wojny pocisków raketowych i latających bomb.

Pewne konsekwencje tych nowych rodzajów broni już dzisiaj można zauważyć. Zasięg latających bomb wynosił do 200 mil. Zasięg nowych pocisków raketowych (V-2) wynosił już znacznie więcej. A są to przecież dopiero pierwsze próby tego rodzaju broni. Biorąc pod uwagę tempo postępów techniki w ostatnich latach, doskonale można sobie wyobrazić, że za niewiele lat — dat nie precyzujemy — będzie można produkować pociski, które, wyrzucone, powiedzmy, z przylądka Finisterre, będą mogły osiągnąć Nowego Jorku, a wyrzucone — powiedzmy — z Warszawy będą mogły osiągnąć Londyn. Znaczy to, że najbardziej elementarny i bezpośredni interes bezpieczeństwa własnego Stanów Zjednoczonych będzie zaangażowany w tym, kto będzie władał atlantyckim wybrzeżem Europy, podobnie jak najelementarniejszy interes Anglii będzie wymagał dla niej zainteresowania dla tego, kto będzie panem Warszawy.

Dziś brzmi to fantastycznie, ale przypomnijmy sobie, co jeszcze sześć lat temu powiedzieli-

byśmy o przypuszczeniu, że z Holandii będzie można wystrzeliwać dziesięciometrowej długości pociski, które z szybkością większą od szybkości dźwięku będą trafiać w cele w centralnej Anglii.

Im bliżej koniec wojny, tym bardziej państwa anglosaskie są bliskie monopolu w dziedzinie ciężkiego lotnictwa bombowego: Luftwaffe niemal że już nie istnieje, nie wydaje się też, aby Rosjanie posiadali potężniejsze lotnictwo bombowe: ataki ich lotnictwa bombowego na miejscowości, położone nieco dalej od linii frontu, są rzadkie i masowością swoją ani mierzyć się nie mogą z nalotami lotnictwa brytyjskiego czy amerykańskiego. Świadomość tego monopolu dawała Anglikom i Amerykanom poczucie bezpieczeństwa. Dziś jednak na horyzoncie (najdosłownie, na horyzoncie) brytyjskim pojawia się nowa broń, której skuteczność, zwłaszcza jeśli będzie produkowana masowo, może być tylko dużo większa od skuteczności bombowców. Oznacza to nie tylko dalszą likwidację wszelkiej wyspiarskości — w znaczeniu nie tylko strategicznym, ale i polityki zagranicznej — ale też i to, że coraz trudniej będzie zlokalizować strefę bezpieczeństwa każdego z mocarstw. Mówienie np., że granice Anglii leżą na Renie, dzisiaj brzmi niemal jak myślenie kategoriami zaściankowymi. Granice te w bardzo szybkim tempie uciekają dalej na wschód. Miejmy nadzieję, że brytyjska polityka zagraniczna potrafi je dogonić.

Jeśli zaś Sprzymierzeni nie potrafią zorganizować bezpieczeństwa z silną i sprawną egzekutywą, to przy dzisiejszym zawrotnym tempie postępów techniki środków zniszczenia zaraz po wojnie trzeba będzie przystąpić do wielkiej przeprowadki społeczeństw cywilizowanych pod ziemię, a za dwadzieścia lat o dzisiejszych czasach będziemy myśleć jako o sielankowym okresie, kiedy to — mówiąc słowami poetki — „samolot pierwszych kroków uczył się po niebie”, tak jak dziś o latach 1914 — 1918 gotowi jesteśmy myśleć jako o „dobrej”, humanitarnej wojnie.

Państwa anglosaskie nie tylko uznały błędność swojej niedawnej polityki wobec Francji. Starają się te błędy odrobić. Pisma angielskie przynoszą w gorącym tonie utrzymywane artykuły o Francji. Anglicy doskonale zdają sobie sprawę z tego, jak wielkie znaczenie ma dla nich przyjaźnia i silna Francja, i starają się jak najenergiczniej przywrócić atmosferę entente cordiale. Wizyta Churchilla i Edena w Paryżu to nie tylko jeszcze jedna konferencja dyplomatyczna, to także manifestacja przyjaźni: nie przypadkowo wypadła ona na dzień 11 listopada. Poprzedziła ją wiadomość o przyznaniu Francji stałego miejsca w europejskiej komisji doradczej. W Paryżu prem. Churchill uroczysto oświadczał, że Francja z powrotem znalazła się wśród wielkich mocarstw. Obiecywał pomoc w jak najszybszym wyposażeniu armii francuskiej w sprzęt wojenny. Trzeba sobie tylko życzyć, aby ta przyjaźń dwóch wielkich demokracji Zachodu oparta była na fundamentach jak najsolidniejszych. Ostatecznie, jest ona jednym z podstawowych elementów konstruktywnych przyszłego porządku świata.

Wiadomości o francuskim życiu politycznym ciągle jeszcze są skąpe, tym niemniej przecieka ich coraz więcej. Wszystkie one świadczą o tym, że Francja dzisiaj poszła znacznie na lewo. Byłoby jednak prymitywną symplifikacją, gdyby ktoś linię podziału między Francją de Gaulle'a a Francją Vichy wyobrażał sobie jako linię podziału między lewicą a prawicą francuską. Zarówno w Komitecie algijskim, jak w gabinecie paryskim de Gaulle'a pewne teki przypadły ludziom prawicy, równocześnie zaś nie należy zapominać, że spośród ludzi Vichy Doriot wyszedł z partii komunistycznej, a Faure był jednym z najwplywowszych członków partii socjalistycznej. Sam de Gaulle nie jest człowiekiem lewicy. Najbliżsi politycznie są mu chrześcijańscy demokraci, którzy też najintensywniej go popierają.

Tym niemniej prawdą jest, że podczas gdy w reżimie Vichy elementy prawicowo-konserwatywne nadawały ton życiu politycznemu, we Francji de Gaulle'a zdecydowana przewaga jest po stronie lewicy. Francja poszła na lewo. Jest to zjawisko aż nadto zrozumiałe w kraju, który wyszedł z wojny bardzo zubożony i w którym panuje przekonanie o konieczności daleko idących reform społecznych z upaństwowieniem ciężkiego przemysłu na czele.

Obraz polityczny Francji w porównaniu z przedwojennym zmienił się przede wszystkim na skutek wyłonienia się dwóch partii „kombatanckich”, partii, które wyrosły z ruchu oporu Francji Podziemnej. Pierwszą z nich, najsilniejszą, jest Mouvement de la Liberation Nationale: obejmuje ona maquis, wywodzących się z różnych partii politycznych, na ogół zwolenników radykalnych reform społecznych. Jej oblicze nie jest jeszcze wykrystalizowane. Jak dotychczas, najłatwiej znajdowała ona wspólny język z socjalistami.

Druga z tych partii to Front Narodowy (Front National). Jak sama nazwa wskazuje, jest to partia, w której główną rolę grają komuniści.

Stosunki między de Gaulle'em a komunistami to jeden z kluczowych problemów dzisiejszej Francji. Komuniści poprzez Front National starają się ująć w swe ręce ster francuskiego życia politycznego. Taki sens miała ich propozycja, aby oba ruchy oporu wystąpiły przy nadchodzących wyborach municypalnych jako jednolita partia. Propozycja ta została odrzucona przez M. N. L., który jednak rzucił hasło wypracowania wspólnego programu reform partii lewicowych. Równocześnie de Gaulle rozwiązał komunistyczną milicję. Przeprowadził to w sposób zarazem energiczny i taktowny, raz jeszcze pokazując, że jest zręcznym taktikiem politycznym.

Żywą działalność rozwijają chrześcijańscy demokraci. Przed wojną była to partia, która nie rozporządzała dużymi wpływami, ale która miała intelektualnie żywą, dynamiczną i ciekawą elitę. Ich gazeta, „L'Aube”, miała bardzo skromny nakład i stale była w kłopotach finansowych, ale zato było to pismo, cieszące się wielkim szacunkiem za swoją bezwzględną uczciwość. Są oni zwolennikami silnej, scentralizowanej władzy państwowej, która by przeprowadziła radykalne reformy.

Na prawicy znaleźli się dzisiaj radykali. I to znów jest zgodne z logiką sytuacji. Partia radykalna przed wojną to była partia drobnej bur-

żuazji i częściowo chłopów, której „radykalizm” wyrażał się w przywiązaniu do radykalno-republikańskiego frazesu jakobinskiej jeszcze proveniencji i w antyklerykalizmie, która jednak społecznie była właściwie konserwatywna. Mówiło się o nich, że są jak rzodkiewki: na zewnątrz czerwone, wewnątrz białe. Nic dziwnego, że gdy przyszedł we Francji okres wstrząsów społecznych, automatycznie niemal przerzucił ich na prawicę. W ciągu dwudziestolecia między dwiema wojnami była to we Francji partia bardzo wpływowa, często zajmująca kluczową pozycję. Dziś są oni w wyraźnej defensywie, zbyt są zresztą obciążeni spadkiem tradycji Trzeciej Republiki, aby łatwo im przyszło w Czwartej odzyskać dawne wpływy.

Dwie wreszcie dalsze, już wyraźnie prawicowe partie, to „Alliance Democratique” i „Federation Republiqueine”.

Która z tych partii ujmie w przyszłości w swe ręce ster rządów francuskich? Odpowiedź zależy w dużej mierze od mocarstw anglosaskich. Jeśli pomoc tych mocarstw będzie na tyle sprawna i wydatna, żeby pozwolić Francji wydobyć się względnie gładko z tych trudności, w jakich obecnie ona tkwi, wtedy ten „centrolew”, który stanowi dziś główną podstawę rządów de Gaulle'a, będzie miał wszystkie dane po temu, aby skupić wokół siebie większość Francuzów. Jeśli nie, wtedy będziemy świadkami wzrostu wpływów partii skrajnych: z jednej strony komunistów, z drugiej faszystów, więc sytuacja analogiczna do tej, jaką mamy we Włoszech, gdzie trudności gospodarcze i brak wyraźnej, sprecyzowanej polityki państw anglosaskich wobec Włoch sprawiają, że faszyzm — zdawałoby się bezpowrotnie skompromitowany straszliwą klęską, której jest winowajcą — odzyskuje sympatie w pewnych kołach młodzieży włoskiej i gdzie wpływy komunistyczne są silne.

W rozgrywce o naftę irańską ZSRR wygrał pierwszą rundę: gabinet Saada poddał się do dysmisji. Trzeba przyznać, że reguły gry były tu dosyć osobliwe. Najpierw więc dowiedzieliśmy się, że w Teheranie wybuchły demonstracje przeciwko rządowi. Chyba po raz pierwszy w dziejach „gniew ludu” obrócił się przeciwko rządowi nie dlatego, że udzielił obcemu mocarstwu koncesji gospodarczych, ale dlatego że koncesji takich — odmówił. Wiadomość o tych demonstracjach przyszła nie z Teheranu, gdzie są przecież korespondenci Reutersa i United Press, ale z Moskwy. Zorganizowała je partia, która w Persji nie nosi nazwy Frontu Narodowego. Za trafniejszą — znano tu nazwę Frontu Wolności.

www.

KRONIKA FILMOWA

PROCES CHARKOWSKI

W Ameryce rozpoczęto produkcję nowej serii filmów anty-nazistowskich. Zajmują się one już nie walkę podziemną, ale sądem nad zbrodniarzami, pierwszy zaś z nich przedstawia proces ludzi, odpowiedzialnych za Majdanek.

Pomysł amerykański został znacznie zdystansowany w czasie przez dokumentarny film rosyjski pod znaczącym tytułem: „Sąd idzie”. Jest to „filmowy stenogram”, jeśli tak można powiedzieć, procesu charkowskiego, przeplatany „wizjami lokalnymi”, t. j. zdjęciami grobów, fos palonych trupów, lasów, gdzie rozstrzeliwano ludność, placów, gdzie umieszczano komory gazowe.

Oskarżenia zeznają po niemiecku, każde słowo jest przekładane przez tłumaczy na język rosyjski, tak samo jak rosyjskie pytania tłumaczone są na niemiecki. Słyszymy więc wszystko po dwa razy, co trwa odpowiednio długo i jest w końcu odpowiednio nudne. Wyrok zapada skazujący — oglądamy egzekucję, wykonaną przez powieszenie trzech Niemców i jednego Rosjanina — kollaboracjonisty. Chwiała się ciała, zawiśle nagle na sznurach, tłum klaszcze, kamera zaś pokazuje zbliżenie głów wisielców: sadyzm zemsty w pełni jest nasycony.

Obraz, nieciekawym filmowo, jest zato interesujący jako posunięcie propagandy sowieckiej. Proces ma niewątpliwie charakter demonstracyjny, ma być symbolem i wpoić nam w ludność przekonanie, że winni są karani. Któż jest jednak tym winnym? Trzech szarych ludzi, trzech raczej automatycznych wykonawców — nie ma na lawie oskarżonych ani jednego z tych, którzy wydawali polecenia, ani jednego z 20 generałów, czekających w Moskwie na wejście Armii Czerwonej w granice Niemiec. Gdyby być konsekwentnym, należałoby w ten sposób posadzić na lawie oskarżonych chyba z połowę niemieckich jeńców. Czemuż wybrano tych właśnie na „kózłach ofiarnych”? Może dlatego, iż uzyskano przekonanie, że ci właśnie przynajmniej się do wszystkiego i będą się kajać...

Dziwne wrażenie robią zeznania ludzi, którzy wiedzą, że czeka ich śmierć, że cały proces jest tylko inscenizacją, którą mogłoby zastąpić kilka strzałów rewolwerowych. Idzie tu jednak oczywiście nie o stracenie winnych, ale o ich upokorzenie: dumni hitlerowcy muszą sami opowiedzieć o swych zbrodniach, muszą dokonać publicznie najohydniejszej spowiedzi: dzięki temu publiczność sądowna, publiczność, oglądająca film, ma satysfakcję zobaczenia „zwierząt w klatce”.

Dostarczenie tego samego zadowolenia było celem zorganizowania kilkudziesięciu tysięcznej defilady jeńców niemieckich przez ulice Moskwy. Prawdopodobnie zbliżoną uroczystość można by urządzić i na ulicach Tel-Awivu, sprowadzając jeńców z obozów w Egipcie. Jeśli Rosjanie mają prawo do podobnej satysfakcji, Żydzi mieliby tym większe. Jeżeli się jednak tego nie robi, muszą być po temu dostateczne powody i dostateczne różnice między stosunkiem Anglika do Niemca i stosunkiem Rosjanina, a także między sposobem odczuwania tryumfu.

Jan Martyka

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Redaktor: St. A. Balicki
Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezael Street, House Valero
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.